

Wtedy i teraz

Jeansy

Jest dokumentacja, więc można sprawdzić. Pojechałem w tym stroju na Festiwal Filmowy w Łagowie. Na ulicy Czesław Łuniewicz zrobił mi zdjęcie, wpierw je dałem do reprodukcji w „Nadodrze”, potem artystyczną odbitkę Łuniewicz umieścił w albumie z serii wydawanej przez Janka Muszyńskiego w Muzeum Lubuskim.

Strasznie chciałem mieć takie spodnie. Wcześniej miałem namiastki. Pierwsze były czarne, z dużymi mankietami. Co prawda kieszenie miały podobne, z lewego boku była nawet wąska kieszonka, w sam raz by włożyć składany metr, tkanina wszakże w niczym nie przypominała tej oryginalnej. Nazywały się „farmerki”. Zastąpiły modne nieco wcześniej cągowce w podłużne paski. Też miałem takie. Już nie były ideologicznie obce, bo gazety (a może było to „Dookoła Świata”?) tłumaczyły, iż tak naprawdę jest to roboczy strój rolników z Teksasu (stąd tkanina, którą czasem można było kupić nosiła nazwę „tek-sas”), czy wedle tej wykładni był to także strój robotników – nie pamiętam. Ale przecież kowboje, jakkolwiek z nazwą tą wiązały się czasem złowrogie konotacje, tak naprawdę byli zwykłymi pastuchami, pracownikami najemnymi w służbie u posiadaczy. Więc nic złego w tych spodniach się nie kryło.

Tyle, że kupić je było trudno.

Bywały na bazarach, bywały w komisach, ja je wszakże nabyłem w drodze przestępstwa.

Kiosk w nowo wybudowanym hotelu „Polan” sprzedawał tylko za dewizy (choć resztę wydawał w bonach), kupiłem więc potrzebną sumę (czy nie od koleżanki z pracy, red. I. K.?) i starannie obejrzawszy, dokładnie przymierzywszy nabyłem. Włoskie, super rifle, ciemne indygo, z rozporkiem zapinanym na zamek błyskawiczny, na podobne zamki z ozdobnym suwakiem zapinane były dwie tylne kieszenie; bocznej kieszeni na metr (jak moje pierwsze farmerki) nie miały, za to kieszonkę na zegarek. Kosztowały, pamiętam, siedem dolarów. Za dolar płacono się 90 złotych.

A potem zapragnąłem mieć bluzę. Hote-lowy kiosk takiego towaru nie prowadził, nabyłem więc za którymś pobylem w Warszawie, firmy wrangler, za dwanaście dolarów.

Ta bluza, wraz ze spodniami, jest na zdjęciu. Sama bluza jest też w wierszu. Pytam się w nim:

dłaczego zimą
siedemdziesiątego roku przypiąłeś
do dżinsowej bluzy zetempowski znaczek
czy naprawdę
wiesz co chciałeś przez to powiedzieć

Pewnie potrafiłbym znaleźć wykładnię. I pewnie zabrzmiała by dziś egzotycznie. Ale nijakiej sprzeczności pomiędzy nimi nie widziałem i w tle zdarzeń tego roku doskonale się ze sobą łączyły.

Ale, jeśli mam wierzyć własnym wierszom, dwa lata później w tej samej bluzie



i z tym samym znaczkiem siedziałem przy stole prasowym w wielkiej konferencyjnej sali WRN. Właśnie zmieniała się rządząca ekipa i o decyzjach należało poinformować społeczeństwo. Co prawda ci, co chcieli mogli obejrzeć wspaniały spektakl telewizyjny, to wszakże co w centrali się zdarzyło w teren powinno być przeniesione.

Siedziałem i notowałem. Taki zawód. Czy coś z tej konferencji napisałem, nie pamiętam. Pewnie nie, bo od komentarzy politycznych w piśmie byli inni.

Ten epizod przypomniałem sobie w Basrze, późną jesienią 1997 roku. Może dlatego, że spektakl, który tam się odbywał był miniaturą tego, który oglądałem w telewizji w r. 1972, a może dlatego też, że miałem na sobie mundur, nie dżinsowy wprawdzie, błękitny, ale zielony połowy mundur armii irackiej. Ten, który tu opisuję dawno już się zniszczył, więc go wyrzuciłem; wtedy nie był

to już nadzwyczajny cymes, drogo bo drogo, ale bez trudu można było nabyć. Znaczek gdzieś leży w którejś szufladzie biurka, parę razy próbowałem go odnaleźć, ale nie starczyło mi wytrwałości, tyle tam szpargałów.

(I, przypomniałem sobie, że co prawda nie prawdziwe jeansy, ale krótkie spodenki z tej słynnej tkaniny miałem znacznie wcześniej, jeszcze w Lubsku. Chyba były niebieskie, ale głowy za to nie dam. Nadzwyczaj mocne, mogłem w nich zjeżdżać po ceglanej balustradzie przed wejściem do szkoły i się nie darły. Tylko uprać je było trudno. Sztywniały w wodzie na deskę, mówiła mi mama. Były z paczek, unrowskich, jak uświadomiłem sobie później. Z tych paczek pamiętam jeszcze solone fistaszki w puszkach i żółty, o smaku prawdziwych owoców, kwasek cytrynowy w torebkach z grubego sreberka. Czy owomaltina też w nich była, czy ją później jadłem kupowaną w aptece, już sobie nie przypominę. Bo o spodenkach też długo nie pamiętałem, powróciły, gdy prałem pierwsze prawdziwe jeansy.)

6 VII, 1 VIII 2006

Stojąc, patrząc

– Babcia już wtedy była gruba – opowiada mi mama – poruszała się z trudem, więc chodziła o lasce. Szła do ogrodu, najpierw przechadzała się po ścieżkach a potem przystawała, opierała się na lasce i patrzyła, jak ogrodnicy pracują. Oni pielili grządki, zbierali owoce albo warzywa, a ona stała i patrzyła. Długo, mówi mama, potrafiła tak stać i godzinę. Stała i patrzyła, a oni pracowali. Poczulałam, mówi mama, że coś jest nie tak.

Jej wtedy, a mógł to być początek lat trzydziestych, wydało się to niesprawiedliwe. Gdy mi to opowiadała, pewnie w późnych latach pięćdziesiątych, nie miałem wątpliwości, że tak właśnie było. I oboje zastanawialiśmy się co myśleli ci, na których pracę babcia patrzyła, sama stojąc beczynnie.

Teraz, po z górą półwieczu wiem, że to co robiła nazywa się nadzorem właścicielskim i raczej zastanawiam się skąd osiemdziesiąt lat

wcześniej takie dziwne myśli przychodziły do głowy panience z dobrego domu.

(Nie, mama nie była ani naiwna ani czulostkowa. Wiedziała, że z posiadania wynikają nie same tylko przyjemności, ale i twarde obowiązki. Dziadek, opowiadała, wstawał rano, ledwie tylko zaczęły się prace polowe, konno albo dokartem objeżdżał pola. Był wprawdzie karbowy, Kremky się nazywał, z węgierskiej rodziny, ale przecież i jego trzeba było pilnować. Zwyczajność, ale w tej zwyczajności coś jej zgryzało.)

6 VII 2006

Dwie fotki (poniekąd historyczne)

Ojciec był zapalonym motocyklistą, rajdowcem szosowym. Nawet to, że imieniny obchodzi w listopadzie stąd się wzięło. Że miałem być Andrzejem było ustalone (mamie bardzo podobało się zdrobnienie: Jędrək), ale gdy na chrzcie (chyba u św. Jana) ksiądz zapytał o patrona, ojciec powiedział, że Boboła w żadnym wypadku. Bo z powodu jakichś uroczystości z nim związanych odwołano rajd, więc ojciec miał do niego osobistą urazę. Wśród tych albumów, które się zachowały w zgruzowanym domu w Warszawie (o nich osobno) jest jeden prawie w całości wypełniony zdjęciami z rajdu 1938 r. Jest też zdjęcie z obrad warszawskiego PZMot, i zdjęcie wychodzących z jakiegoś gmachu, może właśnie z owego PZMot, ojciec jest w wysokich sztylpach, skórzanej kurtce, czapce pilotce.

Na tym wszakże, o którym chcę powiedzieć jest w ciemnym garniturze, pod krawatem, starannie uczesany. Przemawia na trybunie, za nim wisi wielki sztandar z hakenkrojcem. Wygląda poważnie i dostojnie.

Gdy byłem mały nijak nie potrafiłem zrozumieć skąd oni razem – ojciec i hakenkrojc. Mama tłumaczyła mi, że był rajd i Niemcy wygrali, więc ich sztandar zawisł obok trybuny, a ci, co organizowali rajd gratulowali zwycięzcom. Więc wiedziałem, ale nijak nie mogłem się pogodzić, że tak właśnie było - zwyczajnie i po prostu.

(Potem, po latach, gdy już pracowałem w „Gazecie Chłopskiej” i pojechałem do Włodzimierza Korsaka, by zrobić z nim wywiad oglądałem całe pliki zdjęć. Także te z polowań w Puszczy Białowieskiej - Goering, obok pan Włodzimierz. Już nie pamiętam w bryczce czy w saniach. Czy to nie była część tego, o czym z taką pasją pisał Tuwim w *Kwiatach polskich*?)

W tym albumie moich zdjęć nie ma, są w innych. Dużo zdjęć, mógłbym powiedzieć, że jako dziecię nieletnie bywałem częstym, choć nieświadomym, modelem. Potem, po wojnie, już o wiele rzadziej. Nie bywało okazji, a i pieniędzy także. Najwcześniejsze jest z Łodzi, z 1946 roku. Stoję na środku ulicy, w paletku z koca, już trochę przymałym, w pilotce z dzianiny, na nogach mam wysokie kalosze. Gdy czytałem potem książki o Puchatku wydało mi się, że podobne miał Krzyś, gdy szedł przez Stumilowy Las, krótko po tym, gdy przeszła wielka ulewa. Ale na zdjęciu nie ma wielkiego lasy, są słupy latarni ulicznych, w dali jakieś, raczej niewysokie budynki i dwa rachityczne drzewka.



Gdyby nie ten płaszcz z kraciastego koca i gdybym nie wiedział, że to ja jestem (datę na odwrocie wpisała ciocia Julia, stąd wiem dokładnie kiedy było zrobione) byłoby ponadczasowe. Równie dobrze z lat trzydziestych, czterdziestych albo i pięćdziesiątych...

Ale to, które zrobił mi stryj Antoni w 1948 roku w Lubsku, mogło być tylko z lat czterdziestych. Stoję, opierając się o potężny motor, w harcerskiej czapce rogatywce (chyba nie mojej, musiałem ją pożyczyć od jakiegoś kolegi; ale nie wykluczam, że miałem tylko zapomniałem o tym), mam na sobie krótkie spodni i bluzę-kanadyjkę z wykładanym kołnierzem od koszuli, uczesany też jestem typowo – z grzywką. Ale najważniejszy jest napis na murze, duży, białą farbą – „3 razy tak”.

Stoję pod tym napisem. Raczej poważny niż uśmiechnięty, jakbym zdawał sobie sprawę z powagi hasła.

Gdy na przełomie 1987 i 1988 roku pisałem ostatni z *Aneksów* do poematu *Mirbad*,⁷ zatytułowany *to jest...* przypominałem sobie to zdjęcie. Nie wtedy, gdy było robione, nie wiedziałem co znaczy hasło, pod którym stałem. Wydawało mi się pewnie równie naturalne jak napisy „min niet”. Ale właśnie było referendum w sprawie przemian gospodarczych, byłem, wsparłem, choć przecież, gdy się potem zastanowiłem i pytania, na które odpowiadałem usiłowałem przełożyć na konkrety, nijak mi się nie udawało. I tak mi się to złożyło. Ów chłopiec stojący pod hasłem i ten dużo starszy mężczyzna biorący udział w referendum i odpowiadający „na dwa niejasne pytania”, na które – już wtedy – chyba nie było odpowiedzi. Mgła i ruiny.

(Ale czemu w tym wierszu napisałem, że stoję w „za dużym mundurku harcerskim”, miast – jak wyżej opisałem? Coś mi się skontaminowało. Było tak, jak być powinno, nie tak jak było rzeczywiście. I nie podejmuję się rozstrzygać, która prawda jest bardziej prawdziwa.)

6 VII 2006

Zawód

Chyba rozmawiałem o tym z mamą ale, jak to dziecko, zadawałając się prostym i zrozumiałym wyjaśnieniem, nie dopytując się o szczegóły. Zresztą nie jestem pewien, czy mama potrafiłaby mi wyjaśnić. Pewnie sama nie znała detali. I, mniemam, nieszczególnie ją to interesowało. Tak sobie myślę, że bardzo długo pozostawała poza świadomością sfery tego, co nazywa się zasadami wymiany towarowo-pieniężnej. To znaczy kupowała rzeczy, chyba nawet sporo, ale słabo zdawała sobie sprawę, że można postępować odwrotnie, że w tych rzeczach jest ukryta wartość, że da się je wymienić na gotówkę albo inne rzeczy. Kiedyś spytałem się skąd na ramionach i przedramionach ma białe okrągłe plamy. To od wrzodów głodowych, odpowiedziała, jak się człowiek słabo odżywia, albo długo nie je, to robią się wrzody, a jak już się odżywi i wyzdrowieje zostają takie właśnie blizny. Gdzie się ukrywała po reformie rolnej zanim wyjechała do Łodzi, nie wiem, skąd głód aż taki – też nie wiem. Ale w tym wszystkim najważniejsze jest to, że gdy skończyła opowiadać spojrzła na obrączkę i powiedziała: Przez cały czas nie pamiętałam, że ją mam i nie pomyślałam, że mogę ją przecież sprzedać. Do rzeczy nieszczególnie była przywiązana, więc myślę, że po prostu do głowy jej nie przyszło, że ten kawałek złota da się zamienić na pożywienie. Nie by o tym zupełnie nie wiedziała, ale wiedziała, że tak powiem – abstrakcyjnie.

I pewnie tak było z zajęciami ojca.

Chyba się o nie pytałem. I pewnie mi opowiadała, tyle że zapamiętałem fragmenty. To więc, że poznała go, gdy wraz z siostrą prowadził warsztat elektrotechniczny. Tak to nazywam, ale mówiła mi tylko, że wymieniała (albo może tylko ładowała) radiowe akumulatory (w Trzyłatkowie nie było prądu). Co robił potem nie wiem, przypuszczam, że korzystnie zainwestował pieniądze z posagu. Jakie firmy wtedy uruchomił też nie wiem. Wszystko zresztą stracił w 1939 r. Na krótko przed wybuchem wojny, gdy prowadził salon motocyklowy, zawarł dużą umowę z Policją

Państwową na ratelną sprzedaż większej ilości motocykli junak. A potem państwo przestało istnieć i jego zobowiązania także, policja była już inna... Wszystko przepadło.

Z okupacyjnych zajęć znam tylko jedno, dość proste. Brał mianowicie od firm niemieckich, albo może tylko pod niemieckim zarządem, zlecenia na zakup zboża (albo może mąki) w podwarszawskich wsiach. Gdy na rogatkach kontrola rejestrowała przywóz, odwoził je do firmy, jeśli dało się załatwić upoważnienie było wciąż ważne, a towar można było opylić po innych już cenach.

Wczesne dzieciństwo miałem więc raczej dostatnie.

A wiedza o ojcowych zatrudnieniach nie-szczególnie mi była potrzebna. W ankietach spokojnie wpisywałem – pochodzenie społeczne: inteligencja pracująca. Bo, skoro zginął tak wcześnie, liczyło się zatrudnienie matki. Gdy jednak weryfikowałem hasło do *Współczesnych polskich pisarzy i badaczy literatury* po nazwisku ojca miał zawodu był rząd kropek, a obok prośba o uzupełnienie danych. Wpisałem więc: przedsiębiorca. Chyba zgodnie z duchem czasów, w których ta publikacja się ukazała.

1 VIII 2006



Andrzej K. Waśkiewicz

obchodził 30 listopada 2006 roku 65. rocznicę urodzin oraz jubileusz 45-lecia pracy twórczej. W imieniu Redakcji i naszych Czytelników składamy najlepsze życzenia autorowi, dobrego zdrowia, pomyślności, sukcesów zawodowych i satysfakcji osobistych.

Drogi Jubilacie, mamy nadzieję, że Twoja współpraca z Pismem „Pro Libris” będzie układać się równie owocnie jak dotąd!

Krähennest

Oft steht der Umzugswagen vor einer der Türen. Die Fenster bleiben dunkel - nach und nach. Noch drei, noch zwei, noch eines. Alle Lichter aus.

Es kommen Männern in Arbeitsanzügen. Es ist wichtig, das Männer diese Arbeit machen.

Das Gelände wird umzäunt. Die Versorgungsleitungen gekappt.

Alle Türen und Fenster werden herausgerissen, nachdem alle Badewannen, Waschbecken, Toiletten, Duschen, Küchenherde und Einbauschränke ausgebaut wurden.

Es ist gerade kein Bagger frei in der Firma. Der Block muß warten.

Eine Krähe fliegt quer durch das Haus.

Die Gehwege und Zufahrtsstraßen werden mit Erde bedeckt. Eine Planierdrape verrichtet diese Arbeit. Jetzt hängen die Männer Decken über die Zäune. Die Planierdrape wird auf einen Tieflader gefahren und abtransportiert.

Der Bagger kommt.

Zuerst schlägt er die Balkone ab. Die Fensteröffnungen scheinen noch größer zu werden, sich aufzuweiten, als wollten sie etwas gebären. Aber was? Die Krähe trug kein Samenkorn im Schnabel.

Was die Mieter hinterließen, liegt in blauen Plastiksäcken vor den Türhöhlungen. Ausgeschieden.

Auf der anderen Straßenseite haben sich Mütter mit ihren kleinen Jungen versammelt. Sie sitzen in der Sonne und sehen dem Bagger zu. Sie sehen den Regenbogen, der sich im Wasserstrahl des Feuerwehrschauches bildet. Das Wasser wird verhindern, daß das Bild im Staub verblaßt. Der Schlauch spritzt das

Gniazdo wron

Przed jedną z bram często stoi samochód do przeprowadzek. Okna gasną na dobre – jedno po drugim. Jeszcze trzy, dwa, jeszcze jedno. Ostatnie światło zgasło.

Pojawiają się mężczyźni w roboczych ubraniach. To robota dla mężczyzn.

Budują ogrodzenie. Odłączają przewody i rury.

Wyrывают wszystkie drzwi i okna, potem wanny, umywalki, toalety, prysznice, kucharki i komandory.

W firmie nie ma wolnej koparki. Blok musi poczekać.

Przelatuje przez niego wrona.

Ścieżki i drogi dojazdowe pokrywa ziemia. Spychacz zaczął pracę. Mężczyźni przykrywają płot. Spychacz ładują na ciężarówkę, ciężarówka odjeżdża.

Pojawia się koparka.

Najpierw wrywa balkony. Otwory okienne wydają się jeszcze większe, otwierają się, jakby chciały coś urodzić. Ale co? Wrona nie niosła w dziobie ziarna.

W niebieskich plastikowych workach przed pustką po drzwiach leży to wszystko, czego mieszkańcy nie zabrali. Wydalone.

Po drugiej stronie ulicy zebrały się matki z małymi dziećmi. Siedzą w słońcu i przyglądają się koparce. Widzą tęczę, która tworzy się w strumieniu wody z przeciwpożarowego węża. Dzięki wodzie kurz nie zgasi tego widoku. Woda z węża dosięga najdalszego narożnika bloku. W niego wbija się koparka, chwytą mocno i wrywa pierwsze pole tej szachownicy.

Zaczyna padać. Wąż już się nie przyda. Matki zabierają dzieci do suchych mieszkań.

Wasser auf die entfernteste Ecke des Blocks. Dorthin greift der Bagger, hakt sich fest und reißt die erste Platte aus dem Schachbrettmuster.

Es beginnt zu regnen. Der Schlauch hat ausgedient. Die Mütter bringen ihre Kinder in trockene Wohnungen.

Der Bagger schält die Außenwand ab. Sichtbar werden die Durchbrüche zu den Küchen, die Fototapete vom Inselfaradies, die Holzpaneele.

Noch ehe die Krähe sich überlegen kann, auf der Palme ein Nest zu bauen, ist die schon versunken im Betonberg.

Das Erdgeschoß bedeckt sich mit rechtwinkligen Teilen eines Riesenpuzzles.

Der Baggerfahrer schraubt und klopft an der Schaufel seines Rückbaubaggers. Er hat ein Daumenkino in der Hosentasche. Bedient er es mit dem rechten Daumen, wächst ein Neubaublock in die Höhe.

20 Jahre später macht der linke Daumen, daß das Arbeiterwohnsilo wieder verschwindet.

Die Baggerschaufel wird ausgewechselt. Erfolglos. Ein Lastwagen bringt eine werkneue glänzende Schaufel.

Inmitten grüner Sträucher und Wiesen liegt ein grauer Berg. Langgestreckt wie drei Neubaublocks mit je vier Aufgängen. Langgestreckt wie ein müder Arbeiter am Abend oder wie ein gestrandeter Fisch, orientierungslos.

Der Bagger sammelt die nassen staubigen Lappen vom Zaun in einen Container. Füllt ihn wie die Mütter im Supermarkt ihre Einkaufswagen. Zwei Jungen schleichen sich um die Ecke des Bauzaunes. Sie haben etwas entdeckt. Ein paar gelbe Tennisbälle. Hinterlassenschaft eines Mieters. Sie lassen sie die Straße hinab rollen und laufen ihnen nach.

Die Planierdrape ist zurück. Sie fährt vorsichtig auf den Schuttberg. Unter ihr geben die Betonteile nach.

Niemand scheint so recht zu wissen, was mit dieser grauen, bröseligen Masse anzufangen wäre. Hinstreuen auf die aufgeweichten Pfade könnte man sie. In Fundamente eingießen könnte man sie. Sie würde dann wis-

Koparka obiera blok z zewnętrznych ścian. Pojawiają się przejścia do kuchni, fototapeta z karaibskim rajem, drewniane panele.

Jeszcze nim wronie wpadnie myśl, by zbudować gniazdo na palmie, ta zapada się w górze z betonu.

Parter pokrywa się kwadratowymi częściami olbrzymich puzzli.

Kierowca koparki kręci i stuka przy łyżce swej maszyny. W kieszeni spodni ma sterownik. Gdy go uruchomi prawą ręką, to w górę wzbija się nowy blok.

20 lat później lewa dłoń powoduje, że robotnicza wielka płyta znika.

Wymieniają łyżkę koparki. Bez skutku. Ciężarówka przywozi nowiušką, błyszczącą łyżkę.

Pośród zielonych krzewów i łąk leży szara góra. Wyciągnięta jak trzy nowe bloki z czterema klatkami schodowymi każdy. Wyciągnięta jak zmęczony robotnik wieczorem albo jak zagubiona, wyciągnięta na plażę ryba.

Koparka zbiera z ogrodzenia wilgotne, zakurzone ścierki i wkłada je do kontenera. Zapelnia go jak matka wózek w supermarkecie. Dwaj chłopcy skradają się za róg ogrodzenia. Coś odkryli. Kilka złotych piłeczek tenisowych. Pozostałość po jednym z mieszkańców. Toczą je w dół ulicy i biegną za nimi.

Wraca spychacz. Ostrożnie wjeżdża na rumowisko. Beton ugina się pod nim.

Nikt chyba nie wie, co począć z tą szarą, kruchą masą. Może by tak posypać nią nieutwardzone drogi. Może by tak wlać ją do fundamentów. Opowiadałyby ciche historie o dawnych mieszkańcach wielkiej płyty. Historie o zapoconych koszulach i wychudzonych dzieciach, i o białym pudlu spod piątki. Czy za tymi ścianami, które uważnie słuchały, zdarzyło się komuś umrzeć?

Pada deszcz.

Pada tak uparcie, że na krzewach nie zbiera się szary betonowy kurz. Forsycje. Kwitły na żółto przed czarnymi dziurami okien. Matki zerwały kilka gałązek. Ale ich synowie nie zważali na kwieciste gwiazdy.

Betonowa bestia maleje. Gruz, zapakowany do kontenerów, wyjeżdża z miasta

pern von den einstigen Bewohnern der Platte. Geschichten würde sie erzählen von schweißigen Hemden und viel zu dünnen Kindern und vom weißen Pudel aus Nummer 5. War eigentlich schon jemand gestorben hinter diesen hellhörigen Wänden?

Es regnet.

Es regnet so ausdauernd, daß kein grauer Betonstaub sich ansammeln kann auf den Büschen. Forsythien. Gelb blühten sie vor den schwarzen Fensterhöhlen. Die Mütter brachen ein paar Zweige ab. Aber die Söhne hatten keinen Blick für die gelben Blütensterne.

Das Betontier wird kleiner. Bruchstücke, in Container verpackt, werden aus der Stadt hinausgefahren - abgekippt. Eine Maschine frißt die Brocken vorn in sich hinein, zermahlt sie und speit sie als graue Krümel wieder aus. Zwei Pyramiden werden aus diesen grauen Krümeln aufgehäuft.

Das Erdgeschoß wird wieder sichtbar.

Noch immer nagt der Bagger an der Platte, legt die Teile flach auf die Erde. In den Pausen raucht der Baggerfahrer und trinkt viel Apfelsaft aus einem Tetrapack von Aldi.

Tagelang scheint ein großes Tier auf der Stelle zu hüpfen und das Fundament zu zertreten. Das muß zerhämmt und aus der Erde gezerrt werden, muß auch durch die Maschine, die den Beton zermahlt.

Eine graue Ebene liegt da, wo 20 Jahre lang die Neubaublöcke standen. Fast alle Maschinen sind verschwunden, es könnte sein, daß Ruhe einkehrt.

Jetzt werden die Wege und Straßen wieder freigelegt. Ein Mann fegt geduldig mit einem Straßenbesen, der immer wieder vom Stiel fällt.

Die Fläche wird glatt gewalzt. Lastkraftwagen bringen Mutterboden. Es reicht nicht für das ganze Areal.

Ein nobles Auto steht am Straßenrand. Jemand geht über die Ebene. Er trägt einen Anzug und versucht, die Schuhe sauber zu halten. Einen Arbeiter weist er in die nächsten Aufgaben ein. Eine grüne Wiese soll wachsen.

Fünf Tauben und die Krähe fressen sich satt. Dann kommen die Hundebesitzer.

August 2005

- na wysypisko. Jakieś urządzenie pożera je, mieli i wydała jako szare okruschy. Z tych okruschów powstają dwie piramidy.

Znów widać parter.

Koparka ponownie wbija się w płyty, rozrzuca je płasko po ziemi. W przerwach kierowca pali i pije dużo soku jabłkowego z kartonu od Aldiego.

Wydaje się, jakby wielkie zwierzę skakało tu całymi dniami próbując rozdeptać fundamenty. Trzeba je rozrąbać, wyrwać ziemi, nakarmić nimi maszynę, która mieli beton.

Płaska szarość leży tam, gdzie przez dwadzieścia lat stały nowoczesne bloki. Zniknęły prawie wszystkie maszyny, może wróci spokój.

Odsłaniają się znowu drogi i ulice. Jakis męczyzna cierpliwie porusza uliczną szczotką, która wciąż spada mu z rękojeści.

Wyglądają plac. Ciężarówka przywozi glebę. Nie wystarcza na cały areal.

Na skraju drogi stoi luksusowy samochód. Ktoś przechodzi przez plac. Ma na sobie garnitur i stara się nie pobrudzić butów. Wydaje polecenia jakiemuś robotnikowi. Ma tu wyrosnąć zielona łąka.

Pięć gołębi i wrona najadają się do syta.

Potem przychodzą właściciele psów.

sierpień 2005

Tłumaczenie Grzegorz Kowalski

Mapa

Wiele drobiazgów
Jak na jedno życie
Smaków liczb widoków
Po raz setny i tysięczny
Układa się taka droga
Do innej niepodobna
A i ona sama za zasłoną jakby
I nie wiesz którędy i jak
Kreski kropki i ich aura szczegółowo
Nanoszona na wielką mapę
Jej krainami przemykają ludzie i ty sam
Jeden jedyny raz bezpowrotnie
Że zaznacza się taki ślad
Bardzo dziwny
Bo cały w znaku zapytania

Nad kartką

Próbuję wstąpić choćby na sekundę
Tam gdzie kamienie
Całkiem senne
Doświadczają przemiany
I cała reszta wraz z nimi
Liście krople rosy na trawie
Nić pająka w leśnej ciszy
Biorą udział najpewniejszy z pewnych
W snuciu opowieści
O której wiadomo tylko
Że nie wyśniła się filozofom

Krzew

Patrzę na rozłożysty krzew porzeczki
Wydaje się że beczynnienie
Bo trwam niemal nieruchomo
I jakbym zarazem chciał się ukryć
Jaką tu zgubę usiłuję znaleźć
W jego gałązkach miękkich poplątanych
Oto jest pytanie seledynem zapisane
W mojej samotnej linii

Rowerzysta jadący ulicą
Właśnie popatrzył w moją stronę
Jakby jego sprawa była ważniejsza
Mocnego uchwytu i potu na czole pełna
Niż moja nie dająca się wytłumaczyć

Moment

Poza czerwonymi punkcikami
Nabrzmiiałych pąków jabłoni
Które siebie odgadują w wiosennej porze
Wiedzieć i widzieć
Niczego innego nie chcę
W tym momencie
Bo cóż więcej można zobaczyć i doznać
Choćby się wzmogła
Wielka burza szaleństw
Spryciarz żaden
Sekretu nie wykradnie
Każdemu położą na oczy ziemię
Tak po prostu i bez ceregieli

Jestem jak w długiej
Uciążliwej podróży
Widziałem tęczę i tęczy upadek
Cóż jeszcze może spotkać
Zmęczonego wędrowca
Który wie ile trzeba odwagi
Żeby niczego nie przekreślić
W zwyczajnych pąkach jabłoni

I tak sobie patrzę...

Patrzę sobie z góry na moją doczesną powłokę i śmiać mi się chce, chociaż pozycja, w której leżę, nie jest za wygodna. Ciemno, ciasno, twardo, nieprzytulnie. I tak sobie patrzę już od ponad tygodnia...

Tego dnia, jak zwykle, zerwałem się na dźwięk budzika i niemal biegiem ruszyłem do łazienki. Tyle tylko, że nie dotarłem. Coś mnie zakłuło w piersiach, przed oczami zrobiło się ciemno i nagle ujrzałem sam siebie leżącego na środku korytarza. Było to o tyle dziwne, że wydawało się, jakbym spoglądał na własną postać gdzieś spod sufitu. Jakbym siedział sobie na naszej stylizowanej lampie, a jednocześnie leżał na podłodze. Mówię wam, szalenie dziwne uczucie! Oglądałem z zainteresowaniem to, co działo się pode mną, jakbym patrzył na film sensacyjny. Moja wredna małżonka najpierw szarpała moje ciało i coś wykrzykiwała. Potem złapała telefon i gdzieś dzwoniła. Zdziwiło mnie, że zaczęła płakać. Jacyś tacy ubrani na zielono zaczęli mnie szarpać, popodłączali różne rurki i wężyki, i biegiem ponieśli po schodach do erki. Tylko po co? Nagle przestałem widzieć, poczułem straszliwy ból i usłyszałem wycie karetki. Czuję, że gdzieś jadę, że coś ze mną robią... Uchyliłem z trudem powieki i w tym momencie samochód zatrzymał się, zieloni ponieśli mnie wprost w szeroko otwarte drzwi. Szpital? Przecież ja jestem zdrowy, co się dzieje, czego ode mnie chcą??? A tak mi było dobrze na naszym wyrąbanym żyrandolu w korytarzu! Położyli mnie w jakiejś jasnej sali, zaczęli coś tam znów podłączać. Może i byłoby nieźle, ale

ten ból rozsadzający klatkę piersiową! Miałem ochotę krzyknąć, żeby dali mi spokój, ale z moich ust wydobył się tylko dziwny jęk. Nie wiem, ile czasu to trwało, straciłem całkowicie rachubę. Może przysnąłem?

Przebudzenie było cudowne! Patrzyłam sobie z góry na moje ciało spowite w barwne sploty przewodów. Kilka osób nerwowo kręciło się wokół mnie, szumiała aparatura. Wiedziałem, że mnie wołają tam, na dół, ale nie miałem najmniejszej ochoty wracać. Wirowałem sobie spokojnie w górze, nic mnie nie bolało, nie miałem żadnych problemów. Po co więc próbowali mnie wołać? Cała zabawa trwała chyba ze dwie godziny. Z całej siły trzymałem się mojej górnej pozycji i nie pozwoliłem się ściągnąć na dół. W końcu chyba zrozumieli, że nic z tego i dali mi spokój. Potężna kobieta zaczęła odłączać od mojego ciała te kolorowe wężyki, pozostali umyli ręce i poszli sobie. Z ciekawością obserwowałem, co będzie dalej. Film się kręcił...

Zostałem na jakiś czas sam. Potem przyszli tacy dwaj z sinymi nosami, złapali za nogi i głowę i przetrucili do metalowego koryta na kółkach. Pojechaliliśmy korytarzem, windą, korytarzem. Pomieszczenie było ponure, cała ściana wyglądała jak ogromna szafa z niezliczoną ilością szuflad. Na środku stał wielki stół, na którym wylądowałem z impetem. Moi opiekunowie wyciągnęli z jakiegoś zakamarka butelczynę, pociągnęli z niej zdrowo i schowali na miejsce. Potem zajęli się mną. Umyli, ogolili, zaczęli ubierać. O rany, nałożyli na mnie koszulę, której nigdy nie lubiłem i dla-

tego leżała na dnie szafy! Że też moja małżonka ją znalazła? Dobrze musiała pogrzebać w moich rzeczach, żeby akurat na nią trafić! A jakie dziwne buty.... Nigdy takich nie miałem. Czarne. Wstrętny kolor! Ubrali, uczesali włożyli w worek, zamknęli i wsunęli do jednej z tych szuflad na ścianie. Dopiero wtedy zorientowałem się, że to jakaś chłodnia czy zamrażalnia. Jeszcze chwilę pokręcili się po pomieszczeniu, znów tyknęli ze swej butelczyny i wyszli zamykając drzwi na klucz. Zostałem sam. A może powinienem powiedzieć - zostaliśmy sami? Bo byłem ja tam, w szufladzie i ja tu, pod sufitem... Tylko czy o sobie można mówić w liczbie mnogiej? Przecież nie jestem żadnym królem. A może powinienem powiedzieć - nie byłem? Trochę pokręciłem się po tym niesympatycznym pomieszczeniu, ale w końcu znudziło mi się i postanowiłem zobaczyć, co się dzieje w domu. Wcale nie wydawało mi się to dziwne, że bez trudu przeniknąłem przez zamknięte drzwi i w chwilę potem podróżowałem pod naszymi domowymi sufitami.

W domu było przedziwnie. Żona ubrana cała na czarno - zgłupiała czy co? przecież wie, że nie znoszę tego koloru! - siedziała w fotelu i płakała zasłaniając twarz moja chusteczką. Na wersalce siedziały obok siebie moje córki, a mąż najstarszej krążył niespokojnie po pokoju. Telewizor był wyłączony. To chyba w tym domu ewenement - pomyślałem złośliwie znając miłość mojej pani to różnego autoramentu seriali. A co najciekawsze - wszyscy milczeli. Dziewczyny bezmyślnie patrzyły na przeciwległą ścianę, zięć co jakiś czas odgarniał włosy z czoła i nadal uskuteczniał idiotyczny spacer. Nagle podszedł do drzwi i za chwilę wrócił z moją ukochaną ciotką i jej synem, złośliwym kuzynkiem Bolciem. A ci tu po co? - pomyślałem zaskoczony. Ciotka znana była z tego, że nigdy nie odwiedzała nikogo bez interesu. Jakież to interes mogła mieć do mojej żony? A Bolka nie widziałem już chyba z pięć lat, zgadza się, od pogrzebu jego ojca. Zastanawiałem się nad tym nietypowym zgromadzeniem, gdy nagle zrozumiałem, że przecież ja po prostu umarłem i rodzina szykuje mi ostatnią drogę.

To było niesamowite. Nigdy nie sądziłem, że śmierć jest taka prosta i bezbolesna. A może nigdy nie miałem czasu, by o niej pomyśleć? Zawsze goniłem do przodu, w domu wciąż czegoś brakowało, więc pieniądze, pieniądze, pieniądze... Nie powiem, dobrze zarabiałem, dom postawiłem z własnych funduszy, rodzina żyła na bardzo przyzwoitym poziomie. Tak, rodzina, a ja? Czy ja w ogóle żyłem? Myśl, która przemknęła przez moją głowę była co najmniej dziwna. Wiadomo, z medycznego punktu widzenia to byłem istotą żywą, ale tak naprawdę to czy poza pracą cośkolwiek skorzystałem z tego żywota? Oj, chyba niewiele. Obecni w pokoju bardzo mnie rozpraszali, ich ubiory nastrojały mnie co najmniej pesymistycznie, postanowiłem więc zmienić lokal, żeby spokojnie przemyśleć to, co mi przyszło do głowy. Do głowy? Przecież moja głowa leży tam, w szpitalnej chłodni! To nawet dla mnie, bardzo inteligentnego człeka, było nieco za trudne... Postanowiłem zajrzeć do mojego biura. Tam zawsze panował spokój więc i dziś pewno będzie tak samo. Bez problemu natychmiast ujrzałem pod sobą znajome biurko.

W moim fotelu siedział zastępca, któremu nigdy nie pozwalałem niczego ruszać na moim biurku i ze spokojem robił przegląd dokumentów. To już zakrawało co najmniej na skandal! Jeszcze dobrze nie ostygłem, a tu już takie numery. A najgorsze w tym wszystkim, że nic nie mogłem zrobić. Z tego już od początku zdawałem sobie sprawę, że mogę być tylko biernym obserwatorem. Może potem będzie lepiej i będę mógł się trochę wtrącić w niektóre ważne sprawy? Potem? To znaczy kiedy? Po pogrzebie? A może dopiero jak święty Piotr wskaże mi moje miejsce w zaświatach? A może tak naprawdę już nigdy? Powoli zaczynałem żałować, że tam, na tej szpitalnej sali byłem taki uparty i nie pozwoliłem ściągnąć się z wyżyn... Przecież oni beze mnie zginą z kretesem! Znów spojrzałem na biurko. Najnowszy dokument, który dzisiaj mieliśmy rozpatrywać na spotkaniu... Co on z nim robi? Co za idiota! Podarł i wrzucił do kosza! Nagle uświadomiłem sobie, że moja śmierć jest równoznaczna z likwidacją firmy, której byłem właścicielem i jednocześnie dyrek-

torem. Nikt z rodziny nie ma możliwości prowadzenia jej dalej, nikt się na tym nie zna. Mój zastępca przygotowywał dokumenty do wyrejestrowania! A niszczył to, co było już zbyt cenne. Poczuję się jakoś dziwnie patrząc jak unicestwiany jest dorobek mojego całego życia. Niby taka jest kolej rzeczy, nie myślałem jednak, że to tak zaboli. I znów nic z moich przemyśleń, niestety. Zdenerwowałem się zaistniałą sytuacją i zacząłem zastanawiać, co mam dalej zrobić z tak dziwnie rozpoczętym życiem pozagrobowym. Barek był szeroko otwarty, widać ktoś korzystał z jego zawartości. Na stoliku stało kilka brudnych kieliszków. Już sobie urządzili stypę? Szybcy są. Resztki kawy w filiżance. Ależ to moja wczorajsza. I nikt nie posprzątał! Będę musiał porozmawiać z panią Cesią, tak nie można! O rany, zapomniałem, że nie mogę rozmawiać z nikim... No tak, ale ledwo zginąłem z oczu już zaczął się w firmie bałagan. Nawet sprzątaczką nie wypełniła swoich obowiązków. Zajrzałem do jej kantorka. Siedziała na krześle i płakała. Tylko dlaczego? Chyba nie po mnie? A, faktycznie, przez moje odejście z ziemskiego padolu stała się bezrobotna. Ma powód po płaczu. A w pierwszej chwili pomyślałem, że może mnie lubiła i dlatego płacze. Ale ze mnie naiwniak. Nie, tu nie było miejsca do spokojnego przemyślenia sytuacji. A może by tak na działkę? Działkę mam daleko za miastem, rzadko wprawdzie na niej bywam i to przeważnie w większym towarzystwie, ale teraz tam na pewno nikogo nie ma. Ale może najpierw zajrzę do kostnicy, czy nikt nie krzywdzi mojego kochanego ciała? Jak pomyślałem, tak i zrobiłem.

Nie minęła chwila, jak zacząłem patrzeć spod mizernej żarówki na znane mi pomieszczenie. Na obskurnym stole leżała stara kobiecina, jakaś taka drobniutka i pokurczona, a panowie zamasyżycie obmywali ją zimną wodą. Chyba znów korzystali ze swoich kropelek uaktywniających, bo ledwo trzymali się na nogach. W tym momencie zorientowałem się, że mój film jest niemy. Widziałem poruszające się usta, ale nic nie słyszałem. Chciałem dotknąć uszu i... No tak, zapomniałem, że moje ręce, uszy i inne narządy

spoczywają w szufladzie. Dziwna sprawa. I nagle jednak coś usłyszałem, ale był to taki cichy szmer, a nie normalny głos. Okazało się, że obok mnie krąży sobie leżąca na stole kobiecina i przygląda swojej części filmu. Szybko wymieniliśmy poglądy na temat panów, którzy zapewne pracowali w tej instytucji na stałe i zamkniętym. Każde z nas myślało o swoich sprawach, o tym, czego w życiu dokonało, a czego nie udało się zrealizować. Mimo że szuflady były szczelnie zamknięte, widziałem siebie leżącego ze złożonymi dłońmi na twardym dnie szuflady. Jeszcze dwie sąsiednie półki były zajęte. Na jednej spała snem wiecznym potężnie zbudowana kobieta, na drugiej maleńkie dziecko. Pozostałe miejsca były wolne, czekały na nowych lokatorów. W tym czasie kobiecina została ubrana i wpakowana do kolejnej szuflady. Nic tu nie miałem do roboty, trzeba było znaleźć sobie inne miejsce. Tu mi się wydawało co najmniej nieciekawie. Nigdy nie lubiłem alkoholików, a ci tutaj znów zaczęli się raczyć jakąś podłą namiastką wódki. Wyraźnie mi się to nie podobało. Gdzie by tu się udać? Tak naprawdę to nie bardzo chciało mi się nawiedzać działkę, cóż tam mogło być ciekawego? Zaczęło mnie to wszystko trochę nudzić. Czy tak miała wyglądać cała wieczność? Nie byłoby to zbyt zabawne...

Zacząłem się zastanawiać, co dalej. Okazało się to trudniejsze niż do tej pory sądziłem. Odkryłem dość szybko, że w moim stanie nie można spać, nie można z nikim z żyjących porozmawiać, tak naprawdę nie można nic. Sam już nie wiedziałem, czy jestem zadowolony, że umarłem czy też nie. W końcu podjąłem heroiczną decyzję i przenieśliem się na działkę. W naszym letnim domku panował niesamowity bałagan. Wyglądało na to, że w zimie ktoś się włamał i wszystko przeszukał. Po podłodze saloniku przewracały się potłuczone naczynia, wymięte ubrania, jakieś papiery. W kącie na stercie brudnej pościeli odkryłem smacznie śpiącego, brudnego jak nieszczęście, mężczyznę. Zapewne bezdomny znalazł sobie sypialnię... Cóż, od jesieni nikt nie zaglądał na działkę i taki efekt. A tyle razy prosiłem! Ale kto mnie słucha?

Wszystkim w domu się wydaje, że są mądrzejsi ode mnie. Ja nie miałem kiedy pojechać, ale inni? I tak nic nie robią. Trzeba chyba zgłosić na policję, niech pojedą i aresztują tego wstrętnego brudasą. Przecież zniszczy mi cały domek. W tym momencie dotarło do mnie, że to już nieistotne. I że to nie ja będę załatwiał sprawę z bezdomnym. I że to nie mój domek. Nic już nie należało do mnie. I po co ja tak o wszystko zabiegałem? Ależ byłem głupi! Zostawiłem im wszystko, nic się widocznie nie da wziąć na tę stronę. A moi znajomi nadal się tam męczą i garną wszystko do siebie. Czy nie dałoby się ich jakoś zawiadomić, że to nie ma sensu? Po co tak się męczyć, rezygnować ze wszystkiego, skoro i tak trzeba cały dorobek materialny zostawić innym?

Na krążeniu między mieszkaniem, działką i kostnicą minęła mi cała noc. Niczego w sumie nie wymyśliłem. Ranek powitał mnie w okolicach abażuru w mojej sypialni. Moja małżonka wstała bardzo wcześnie, co należałoby zaliczyć do niespotykanych wydarzeń. Jakoś tak dość szybko przyszedł do niej mój najserdeczniejszy przyjaciel. Kiedy popatrzyłem na nich, zrozumiałem, że ich kontakty nie od dziś były dużo bliższe niż się można było spodziewać. Moja żona i mój przyjaciel... To było jak cios poniżej pasa. No nie, nie pasa, bo przecież mój pas i cała reszta była nieobecne. A byłem tak pewien, że nie mam rogów. Pewnie wszyscy wokół wiedzieli o sytuacji, tylko nie ja. Sprawdziło się znane powiedzenie, że najbardziej zainteresowany dowiaduje się najpóźniej. No tak, teraz mieli wymarzoną wolność. A ja naiwnie wierzyłem, że moja połowica jest zmęczona całym dniem dreptania wokół spraw domowych i dlatego wieczorem tak szybko zasypia i nie ma ochoty na małżeńskie powinności. O święta naiwności! Czegóż to ja się jeszcze teraz dowiem? Rozmawiali o czymś, ale niestety niczego nie słyszałem. Przeglądali papiery. Zajrzałem im przez ramię. A, tak, patrzyli ile to dostaną z ubezpieczenia, jak się wzbogacą na mojej śmierci. Coraz dokładniej rozumiałem, że byłem po prostu głupi i utrzymywałem nie tylko własną rodzinę, ale i osoby postronne. Ale już nic nie mogłem zrobić, już nie

należałem do tego świata. A do tamtego? Chyba jeszcze nie... Ciekawe, kiedy to nastąpi. Może po pogrzebie? A może tak, jak powiadali starzy ludzie, miesiąc po śmierci? Właściwie ta wiedza do niczego nie była mi potrzebna. Ot, tak jakoś mi się tylko pomyślało. Krążyłem sobie powolutku, spoglądałem na sielankową atmosferę do wczoraj mojej sypialni i zastanawiałem się, co dalej z tak pięknie rozpoczętym dniem. Nie miałem tak naprawdę żadnego pomysłu... Nagle zwrócił moją uwagę jakiś nerwowy ruch. Kochankowie zaczęli się jakoś dziwnie zachowywać, wyglądało to, jakby się pokłócili. Faktycznie, chyba zaszło jakieś nieporozumienie, bo mój przyjaciel w pośpiechu opuścił pokój, a potem mieszkanie. W kilka minut później pojawiły się moje córki. Najmłodsza strasznie biała przy tym czarnym sweterku. Ale starsze niczego sobie. Nawet im do twarzy w czerni - skonstatowałem i uśmiechnąłem się pod nosem. No tak, pod jakim nosem? Na dole odbywała się jakaś dyskusja, szkoda tylko, że nie miałem pojęcia, o czym rodzina rozmawia. To było denerwujące! Chyba najgorsze ze wszystkiego, czego doświadczałem. Niby byłem wśród nich, ale oni mnie nie widzieli, ja ich nie słyszałem... Poczuję się okropnie. Postanowiłem po raz kolejny zmienić miejsce pobytu. Wróciłem do kostnicy, żeby jeszcze raz przyjrzeć się temu, co jeszcze tak niedawno było mną. Leżała sobie ta moja cielesna powłoka w swojej szufladzie i czekała chyba na lepsze czasy. Wyglądałem tak samo, jak wcześniej, wcale się nie zmieniałem. A mówili, że po śmierci człowiek młodnieje. Guzik prawda, widziałem wszystkie zmarszczki na mojej twarzy, dodatkowy podbródek z trudem mieścił się w kołnierzyku koszuli, a złożone na piersiach ręce były pomarszczone i jakieś takie nieciekawe. Przez czas mojej nieobecności nic nie przybyło i nic nie ubyło. Jeszcze raz przeniknąłem wzrokiem szuflady i stwierdziłem, że jednak coś się zmieniło. Nie było dziecka. Pewno zostało dowiezione na cmentarz. Swoją drogą ciekawe, jak będzie wyglądał mój pogrzeb - pomyślałem leniwie. Bo tak naprawdę to nie byłem aż tak mocno

zainteresowany całą tą uroczystością. Cóż mnie ona mogła teraz obchodzić?

Nadszedł nareszcie ten dzień. Już od rana w moim domu gromadzili się bliżsi i dalsi krewni. Wszyscy odpowiednio poważni. No tak, mieli mnie przecież pochować. Jakoś dziwnie mi się zrobiło, niby już od kilku dni nie żyłem, ale co innego leżeć w szufladzie w pobliskim szpitalu, a co innego w grobie, choćby najpiękniejszym. Krążyłem sobie między domem i kostnicą. Patrzyłem, uśmiechałem pod nosem, och, przepraszam, jakoś tak mi się powiedziało. Nie mogłem pod nosem, bo nos sobie spokojnie leżał w szufladzie... No, po prostu się uśmiechałem i już! Moi znajomi alkoholicy wyciągnęli mnie z szuflady, upchnęli w sosnowe pudełko, wyrównali fałdki i zakręcili śruby. Pojechaliśmy na cmentarz. Było całkiem sympatycznie, słońeczko świeciło, ptaszki śpiewały. Niektórzy wyciągali chusteczki, przykładali do suchych oczu. Znam to, znam, sam tak kiedyś robiłem. Ksiądz coś mówił, pokropił trumnę wodą, posypał ziemią. Czterej rośli chłopcy na trzy-cztery zsunęli trumnę w wykopany otwór. Potem moja małżonka udawała, że chce się rzucić za mną do ziemi, ale nigdy nie była dobrą aktorką, więc zagrała kiepsko. Łopaty migwały w rękach grabarzy i w szybkim tempie nad moją trumną powstał wcale zgrabny pagórek. Zaraz wszyscy się rzucili do układania wieńców i wiązanek artystycznie prostując szarfy, by każdy

widział, kto to mnie pożegnał. Ale zabawnie wyglądali! Podchodzili sztywno do moich najbliższych i podawali dłonie w udawanym żalu. Doskonale wiedziałem, że moja śmierć ich zupełnie nie obeszła. Ale wypadało się pokazać żywym... Nie wiem, ile to trwało, ale na szczęście ludzie zaczęli się rozchodzić. Pozostali w końcu ci, którzy mnie ponoć kochali. Nie patrzyli jednak w zadumie na grób, jakby się można było spodziewać, tylko wyraźnie się o coś kłócili. Nareszcie i oni poszli. A ja zostałem nad swym własnym grobem i mimo chęci nie byłem w stanie wynieść się stamtąd. Straciłem zdolność przenoszenia się, gdzie tylko miałem ochotę. Doszedłem do wniosku, że teraz to już na pewno pójdę do tego innego świata.

Mijają kolejne dni, już ponad tydzień od pogrzebu, a ja ciągle tkwię nad grobem. Szkoda, że nikt mnie nie odwiedza, byłoby weselej. Zacząłem odróżniać dźwięki, powróciła mi zdolność słyszenia. Słyszę ptaszki, czasem dolatują strzępy rozmów ludzi odwiedzających groby. A mnie nikt nie odwiedza. Patrzę sobie na tę moją doczesną powłokę i sam nie wiem, co dalej. Czy mam tu tkwić aż do końca świata, do Sądu Ostatecznego?

(I nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty pt. „Małe ojczyzny”, Kargowa 2006)

Niemen czyta Norwida



Czesław Niemen

Norwid

*Ukształtowała nas kultura europejska,
to dzięki niej potrafimy kochać wiersze,
wracać do nich, rozmawiać z nimi.
Dla wielu poezja wciąż stanowi źródło
inspiracji, energii, a nawet życiowej
filozofii.*

Czesław Niemen

Wiersze Norwida towarzyszyły Niemenowi niemal przez całą drogę artystyczną, były dla niego nieskończenie bogatą inspiracją. Począwszy od pierwszej publicznej prezentacji „Bema pamięci żałobnego rapsodu” w 1968 r., poprzez płytę „Idee Fixe” (1978), a na albumie „Spodchmurykapelusza” z 2001 kończąc, widać wielki wpływ poety nie tylko

na dobór repertuaru, ale i na styl pisarski Niemena. Dlaczego? Niech odpowiedzi udzieli sam artysta:

Norwid to jest właściwie źródło. Źródło i początek moich poważniejszych prób poetyckich. Choć, (...) nie obrażę się jak ktoś mnie nazwie grafomanem. Od dzieciństwa fascynowałem się poezją. A Norwid nauczył mnie rozróżniania formy i syntetycznego rozumowania w budowaniu treści. Norwid napisał wprawdzie dużo rozbudowanych poematów, ja jednak zawsze sięgałem do tych strof, które były krótkie i zwięzłe. To one, z uwagi na formę i treść nadawały się najbardziej do śpiewania. Tu znalazłem mądrość i naukę bez kończenia filologii. Dalej studiuję tę poezję. Norwid jest poetą zajmującym w moim życiu miejsce szczególne. (...) Mam satysfakcję, że udało mi się w jakimś sensie zaszczepić zainteresowanie tą poezją jeszcze w czasach głębokiego PRL-u.

(...) kiedyś sam poeta w swojej twórczości podnosił temat, że późny wnuk odczyta jego pismo. Współcześni Norwidowi byli przyzwyczajeni do poezji romantycznej, a on już był postromantyczny. Jednak norwidowska publicystyka i moralizatorstwo były niemiłe jego pokoleniu. I dalej nie są miłe dla ludzi, którzy z moralnością są na bakier. Tak to wygląda. Powiedziałem więc, że czuję się tym późnym wnukiem, który odczytał pismo. Zarzucali mi wówczas różne rzeczy, że szargam poezję, że w ogóle nie rozumiem, co śpiewam. To jest bardzo krzywdzące i niesprawiedliwe, ponieważ żadnego wiersza nie wybrałem przypadkowo (...).

Dlatego Norwid, ponieważ jego poezja stała się ponadczasowa. Ona jest aktualna właściwie do dziś, bo porusza wiele aspektów dotyczących człowieczeństwa, postępowania i, wreszcie, spraw mentalnych... A przecież poeta tworzył w XIX wieku (...) Bardzo mi zależy na tym, by czytano go w Polsce, bo pomaga zrozumieć i to, co się u nas dzieje [współcześnie]."

A wszystko zaczęło się bardzo prozaicznie... Pewnego dnia Wojciech Młynarski pod-

sunął Niemenowi tomik mówiąc: *gdybyś tak skrobnął muzykę do wiersza Norwida „Bema pamięci żałobny rapsod”, to byłoby dopiero coś!* Ta rozmowa miała miejsce w ramach wspólnego wyjazdu na trasę programu „Zgaduj-Zgadula”. Niemen długo rozważał ten projekt, zastanawiał się czy „wielka” poezja nadaje się do estradowej prezentacji. Konsultował się m.in. z Ewą Demarczyk nim ostatecznie podjął się tego zadania. No i zaczął próbować. Najpierw - by wprowadzić właściwy nastrój - zaaranżował motyw na organach, który powstał na trasie koncertowej, podczas prób, prawdopodobnie w Kielcach, a potem już ciąg dalszy nastąpił naturalną kolejną rzeczą. Koncertowa premiera „Rapsodu” odbyła się 20 grudnia 1968 r. w warszawskiej Sali Kongresowej. To była sensacja! Idol rzeszy młodzieży sprawił, że tomiki wierszy Norwida masowo wykupowano z księgarń. Półtora roku później w wielu szkołach na lekcjach polskiego uczono się wiersza Norwida z odtwarzanych płyt. Niemen wprowadził modę na Norwida...

Płyta z 1968 r. „Niemen Enigmatic” była pierwszą, w której Niemen zawarł wiersz poety. Na następnych płytach również znajdowały się wiersze jego poetyckiego guru, jednak najbardziej Norwidowską płytą Niemena była nagrana w 1978 r. „Idee Fixe”. Także ostatni album „Spodchmurykapelusza” z 2001 roku wskazuje przemożny wpływ Norwida na artystę

Z kolei na płycie „Aerolit” znalazły się dwa wiersze Norwida: *Pielgrzym* i *Daj mi wstążkę błękitną*. Jesienią 1974 r., po kilku dniach prób, krążek był gotowy. Album ten, dzisiaj wysoko ceniony przez kolekcjonerów, wtedy z trudem przebijał się przez tendencyjnie zatłkane uszy recenzentów. Pochlebnią recenzję otrzymał dopiero w 2002 r., kiedy to Niemenowskie moogowanie w *Pielgrzymie* zafascynowało dwóch młodych Anglików (The Chemical Brothers – „Come with us”). Sam Niemen pisze o tym wydarzeniu w książeczce dołączonej do boxu *NIEMEN OD POCZĄTKU II* :

... uśmiełem się po otrzymaniu listu adresowanego do mnie i Cypriana Norwida, zanim

nie uzmysłowiłem sobie, że ja wiem o poetach angielskich niewiele więcej i czy ci najwięksi jeszcze są wśród żywych... Tak, czy owak fakt bez precedensu. Chemical Brothers umieścił, tak zwany loop mojej moogowej frazy, na swojej płycie.

W końcowych słowach opracowania napisał:

Muszę powiedzieć, że mam jeszcze sporo wierszy Norwida do zaśpiewania, które czekają na swoją kolej. Myślę, że jestem jeszcze winien poecie płytę pod tytułem „Pieśń od ziemi naszej” - bardzo aktualną, jak się dziś okazuje.

Niestety śmierć artysty nie pozwoliła mu zrealizować tych planów i wspomniana płyta nie ukazała się, podobnie jak wiele innych, których materiał muzyczny i tekstowy już przygotował.

Poniżej sporządzony został alfabetyczny spis utworów Norwida, które Niemen wykorzystywał w swojej działalności artystycznej. Ich ostateczny kształt mógł być związany z konkretnymi wydawnictwami tekstów Norwida, z których korzystał kompozytor. Mimo wszystko, nierzadko poddawał oryginały różnego rodzaju modyfikacjom. Często zabiegami była zamiana przyimków, powtórzenia, skróty i zmiany deklinacyjne. Rzadziej Niemen stosował przestawienia szyku wyrazów lub sformułowań (np. *Zapytaj*), a nawet całych zwrotek (np. *Pieśń od Ziemi Naszej*).

Dlatego założeniem moim było aby wiersze przedstawić w kształcie zbliżonym do prezentowanego przez kompozytora, jedynie z pominięciem wielokrotnych powtórzeń.

AERUMNARUM PLENUS
BEMA PAMIĘCI ŻAŁOBNY – RAPSOD
CIEMNOŚĆ
CZY TEN PTAK KALA GNIAZDO, CO
JE KALA
DAJ MI WSTAŻKĘ BŁĘKITNĄ
DO NAJŚWIĘTSZEJ MARII PANNY.
LITANIA
IDĄCEJ KUPIĆ TALERZ PANI M
ITALIAM! ITALIAM
JESIEŃ
KLEOPATRA I CEZAR
LARWA
LAUR DOJRZAŁY
MARIONETKI
MARMUR – BIAŁY
MIŁOŚCI! W TOBIE JEDNEJ ODPO-
CZNIENIE
MIŁOŚĆ
MOJA OJCZYŻNA
MOJA PIOSNKA [III]
MÓJ PSALM
PIELGRZYM
PIEŚŃ OD ZIEMI NASZEJ
POSIEDZENIE
PROMETHIDION
RZECZ O WLONOŚCI SŁOWA
SARIUSZ
SIEROCTWO
SIŁA ICH
VANITAS
WIELKOŚĆ
ZA PŁOTEM
ZAPYTAJ

Zacznijmy od początku, czyli od „Bema pamięci żałobny-rapsod”.

BEMA PAMIĘCI ŻAŁOBNY-RAPSOD

*...Iusiurandum patri datum
usque ad hanc-diem ita servavi...*

Annibal

I

Czemu, Cieniu, odjeżdżasz, ręce złamawszy na pancierz,
Przy pochodniach, co skrami grają około twych kolan? -
Miecz wawrzynem zielony i gromnic płakaniem dziś polan;
Rwie się sokół i koń twój podrywa stopę jak tancerz.
- Wieją, wieją proporce i zawiewają na siebie,
Jak namioty ruchome wojsk koczujących po niebie.
Trąby długie we łkaniu aż się zanoszą i znaki
Pokłaniają się z góry opuszczonymi skrzydłami
Jak włóczniami przebite smoki, jaszczury i ptaki...
Jako wiele pomysłów, któreś dościgał włóczniami...

II

Idą panny żałobne: jedne, podnosząc ramiona
Ze snopami wonnymi, które wiatr w górze rozrywa,
Drugie, w konchy zbierając łzę, co się z twarzy odrywa,
Inne, drogi szukając, choć **przed wiekami zrobiona...**
Inne, tłukąc o ziemię wielkie gliniane naczynia,
Czego klekot w pękaniu jeszcze smętności przyczynia.

III

Chłopczy biją w topory pobłękitniałe od nieba,
W tarcze rude od świateł biją pacholki służebne;
Przeogromna chorągiew, co się wśród dymów koleba,
Włóczni ostrzem o łuki, rzekłbyś, oparta pod-niebne...

IV

Wchodzą w wąwóz i toną... wychodzą w światło księżycyca
I czernieją na niebie, a blask ich zimny omusnął,
I po ostrzach, jak gwiazda spaść nie mogąca, prześwieca,
Chorał ucichł był nagle i znów jak fala wyplusnął...

V

Dalej - dalej - aż kiedyś stoczyć się przyjdzie do grobu
I czeluście zobaczym czarne, co czyha za drogą,
Które aby przesadzić, Ludzkość nie znajdzie sposobu,
Włócznią twego rumaka zeprzem jak starą ostrogą...

VI

I powleczem korowód, **smęcąc ujęte snem grody,**
W bramy bijąc urnami, gwizdając w szczyby toporów,
Aż się mury Jerycha porozwalają jak kłody,
Serca zmdlałe ocucą - pleśń z oczu zgarną narody...

.....

Dalej - dalej - -

Mathilde möchte etwas schenken, eine Adventsgeschichte

Der Schnee war naß. Mathilde legte den Kopf in den Nacken um ihn besser zu spüren und zu sehen. Große, weiche Flocken segelten langsam vor dem Nachmittagsgrau fast senkrecht, in immer geringer werdenden Abständen herab. Auf den Wegen, auf den Beeten, auf den Bäumen und Zäunen lagen dicke, weiße Buckeldecken. Und die Buckel wuchsen noch. Eine Blätterfaust voll Schnee fiel mit Blatt und Stiel vom Kastanienbaum auf Mathildes Kopf, den Zopf und in den offenen Kragen. Aus weißem Gezweig spottete heiser ein Rabenvogel, schwarz und nass...

Weiß und leise war der Garten, auch von der Straße her war nichts zu hören.

Mathilde ging langsam zur Treppe. In ihren kalten Händen trug sie eine zerbrechliche Last, das Herz aus Glas. Der Vogel flog mit schweren, schwarzen Schwingen vom Ast zum First. Pechvogel, Pechvogel!

Als Mathilde klirrend fiel, war nicht der Vogel schuld. Unter dem Schnee war Eis von gestern. Und das dünn geblasene Glas zerbrach im Karton: Scherben bringen Glück!

Aber zuerst brachten sie Tränen.

„Scherben bringen Glück!“ sagte auch die Mutter. Sie knetete den Teig für die Pfefferkuchen. Mathilde bestreute die Kuchenbleche mit Mehl.

„Was schenke ich nun dem Vater zu Weihnachten?“ Das war Mathildes Sorge. Das Herz aus Glas war zerbrochen und der Vogel hatte gespottet. Es war eine Saatkrähe, hatte die Mutter erklärt.

Eben pickte die Krähe mit ihrem großen grauen Schnabel an die gefrorenen Fensterscheiben. Aber Eisblumen kann auch kein Rabenvogel pflücken.

Das Herz aus Glas hatte Mathilde selbst gemacht. Vor dem großen, heißen Ofen in der

Historia adwentowa, czyli prezent od Matyldy

Śnieg był mokry. Matylda odchyliła głowę do tyłu, aby móc go lepiej widzieć i czuć. Duże miękkie płatki żeglowały powoli, prawie poziomo przed nadciągającym zmierzchem, odległości między nimi stawały się coraz mniejsze. Na drogach, grzędach, drzewach i płotach leżały grube białe pierzynki. I wciąż rosły. Nagle z kasztanowca spadła wraz z liściem garść śniegu na głowę Matyldy, na jej warkocz i za odchylony kołnierz. Siedzący na gałązce zachrypnięty gawron zaskrzeczał.

Ogród był cichy i biały, nie dochodziły tu żadne odgłosy z ulicy.

Matylda weszła pomału na schody. W zmarzniętych rękach niosła kruchy ciężar, serduszko ze szkła. Ptak przeskakiwał ciężko z gałęzi na gałąź - *Masz pecha, masz pecha!* Matylda upadła, rozległ się brzęk. Nie była to wina ptaka, pod śniegiem leżał wczorajszy lód. To cienkie, dmuchane szkiełko w kartonie potłukło się - potłuczone szkło przynosi szczęście!

Ale najpierw przyszły łzy. *Potłuczone szkło przynosi szczęście* - powiedziała mama, zagniatając ciasto na pierniki. Matylda posypała blachę mąką. *Co dam teraz Tacie pod choinkę?* – myślała. No tak, co teraz. Serduszko rozbiło się i na dodatek ten ptak się z niej naigrywał. Właśnie zastukał dużym, szarym, dziobem w zamrożone kwiaty na szybie. Ale tych kwiatów nawet ptak nie potrafił zerwać.

Glasbläserwerkstatt hatte sie in die gläserne Flöte geblasen. Am Ende, in der Form, hatte die Flöte golden gegläht. Und mit ein bißchen Hilfe vom Meister war aus dem heißen Gold kühles, weißes Glas geworden, ein Herz. Mathilde hatte es mit Sternen bestückt, mit einer Schleife geschmückt und mit Seidenpapier umhüllt in den Karton gesteckt. Zersplittert war es doch!

Ein zweites Mal würde sie nicht in der Glasbläserwerkstatt in eine Flöte blasen dürfen.

„Bitte doch noch einmal darum!“ schlug die Mutter vor. „Nein!“ Mathilde schüttelte den Kopf, daß alle Locken flogen. Sie hatte Angst vor dem Spott der Meisterin. Die hatte so harte, schwarze Augen und so harte Worte.

„Weihnachtszirkus!“ hatte sie gesagt und Mathilde aus der Werkstatt scheuchen wollen. Der Meister hatte ihr die große Schürze umgebunden und seine Frau hinaus gewinkt. Er hatte Mathilde die Arbeit mit wenigen Worten und klaren Gesten gezeigt. Dann hatte er gebrummt: „Nun du, ich hab' zu tun!“ Aber geholfen hatte er ihr doch...

Vor dem Fenster fiel immer noch Schnee, feiner jetzt und schneller.

Die Dunkelheit nahm zu und nur der Lichtstreif aus dem schmalen Küchenfenster erhellte den Garten. „Schade, daß Schnee schmilzt,“ dachte Mathilde.

Ein Weihnachtsgeschenk aus Schnee, duftig und glitzernd, das wäre schön. Bewegungen sollte es sich auch und klingen, wie eine Spieluhr.

Die Mutter lächelte zu Mathildes Gedanken: „Ein Geschenk wie ein glitzerndes Tanzlied ohne Worte wäre das. Schenk' deinem Vater doch ein Lied!“

„Aber Mutti, ich kann doch keine Lieder machen!“ empörte sich Mathilde über so viel Unverstand.

„Aber eines aussuchen aus dem Weihnachtsliederbuch und es auf einer ganz kleinen Flöte spielen, das könntest du“, erklärte die Mutter.

„Ist das ein Geschenk?“ und „Was ist überhaupt ein Geschenk?“ fragte Mathilde.

Lange dachten die Mutter und Mathilde über diese Frage nach.

Doch, langsam, langsam begann Mathilde zu begreifen, daß Musik ein Geschenk sein konnte.

Die Mutter fing an zu singen, erst die Weihnachtslieder, die Mathilde kannte, die sie mitsingen konnte, dann Lieder in einer fremden Sprache, deren Weisen auf halben Silben in der Höhe tanzten, wie der Schnee vor dem Fenster. An

Serduszko ze szkła zrobiła Matylda własnoręcznie. W warsztacie hutniczym, stojąc przed gorącym piecem, dmuchając w szklaną fajkę. Na końcu w formie szkło żarzyło się złoto. I z... odrobiną pomocy majstra z gorącego złota wyszło chłodne, białe szkło w formie serca. Matylda przyozdobiła je gwiazdkami i kokardą, zawinęła w bibułkę i włożyła do pudeleczka. Ale się rozbiło. Drugi raz w warsztacie na to samo już jej nie pozwolą.

Poprosz ich jeszcze raz - poradziła mama. *Nie* - Matylda potrząsnęła głową, a jej loczki rozsypały się. Bała się narazić na drwiny żony majstra, miała takie zimne spojrzenie.

Istny cyrk z tym Bożym Narodzeniem! - powiedziała do Matyldy i już wtedy chciała przepędzić ją z warsztatu. Majster zawiązał jej duży fartuch i wyprosił żonę z warsztatu. Potem burknął pod nosem - *Mam dużo roboty*. Ale pomógł Matyldzie, to jasne...

Za oknem padał śnieg, bardzo delikatnie i szybko. Było coraz ciemniej, i tylko mały promień światła z kuchni oświetlał ogród. *Szkoda, że śnieg się topi* - pomyślała Matylda.

Prezent bożonarodzeniowy ze śniegu, wspaniały i błyszczący, to byłoby coś. Musiałby się poruszać i dzwonić jak grający zegar.

Mama uśmiechnęła się jakby wiedziała o czym myśli Matylda - *Prezent jak polską piosenkę do tańca, bez słów, to byłby prezent dla twojego taty, sprezentuj mu piosenkę!*

Ależ mamusiu, ja nie umiem układać piosenek - oburzyła się Matylda.

Ale, mogłabyś wyszukać jakąś kolędę i zagrać ją na małym flecie. To potrafisz - wyjaśniła mama.

Czy to jest prezent? A tak naprawdę co to jest prezent? - zapytała Matylda. Myślały nad tym, rozmawiały na przemian cicho i głośno. Po jakimś czasie Matylda doszła do wniosku, że i muzyka może być prezentem. Mama zaczęła śpiewać, najpierw kolędy, które Matylda знаła i które mogły śpiewać razem, potem piosenki w jakimś obcym języku, którego melodie tańczyły na półówkach głosek i wznosiły się w górę jak śnieg za

diesem Abend fiel es Mathilde besonders schwer, ins Bett zu gehen und zu schlafen.

Hoch lag der Schnee vor dem Haus. Ganz zart hellte der Himmel auf, ein türkisblaues Band über dem Wald. Eine Gasse hatte der Vater schon zum Gehen geschaufelt. In der Schule war erst recht keine Zeit für Weihnachtsgedanken.

Auf dem Heimweg, als das Licht schon wieder abnahm, wartete Mathilde auf die Schneeflocken, und sang für sich im Schlendern leise Weihnachtslieder. Der Rabenvogel hatte sich verzogen, alle Vögel hatten sich verborgen, keiner flog. Zwischen schmalen Wolkenfetzen kamen aus blauem Himmel herab die ersten Flöckchen.

„Huh!“ fauchte der Wind um die Domvogtei. Mathilde lief zum Seitenschiff, die Pforte war schwer zu öffnen.

An der Orgel saß der junge Pastor. Nach kurzem Gruß ließ er die Orgel jubilieren, laut und hoch. Es klang wie Schwalbengezwitscher zwischen den tiefen Atemzügen der komplizierten Melodie.

Sie wartete die musikalische Paus ab. Es war ganz einfach zu bitten, vielleicht jedoch nicht ganz einfach zu machen, denn der Pastor krauste auch die Stirn. Mathilde wollte die Melodie mit dem Schwalbengezwitscher für ihre kleine Flöte haben. Der Pastor begleitete Mathilde nach Hause. Unterwegs erzählte Mathilde, was sie über ein Geschenk dachte: „Es muß selbst gemacht sein, weißt du. Man muß sich sehr viel Mühe geben. Und einfach soll es auch nicht sein und nicht so schnell, husch, husch...“

Ein Windstoß nahm ihr den Atem. Der Pastor wickelte seinen Schal um Mund und Nase, also konnte er nicht antworten. Mathilde hätte gern gefragt, wo der Wind herkommt. Das ging nicht. Sie mußte tief den Kopf beugen und sich gegen den Schneesturm stemmen. Dabei fiel ihr die brausende Orgel ein, volltönend wie der Sturmwind.

Mutti war aber froh, daß ihre Mathilde heil nach Hause kam! Sie redete schnell und aufgereggt, ließ keinen zu Wort kommen. Heißer Tee beruhigte und wärmte.

Leise wie ein Kätzchen schlich Mathilde aus der warmen Küche in Vaters Arbeitszimmer und mauste sich einen Bogen Notenpapier. Aus ihrer Federtasche kramte sie einen Bleistift und einen Spitzer.

„Bitte“, sagte Mathilde und schob neben die Keksbücher das linierte Papier, „bitte schreibe mir den Jubel mit dem Zwitscherchen auf! Noten lesen kann ich schon. Bitte!“

Die Mutter war ein bißchen verlegen, daß Mathilde so vertraulich tat.

oknem. Tego wieczoru ciężko było Matyldzie iść spać...

Nazajutrz było dużo śniegu. Tata oczyścił ganek ze śniegu. Matylda pobiegła do szkoły. W szkole nie miała czasu, aby myśleć o Bożym Narodzeniu.

W drodze do domu, gdy już się zmierzchało Matylda goniła płatki śniegu i śpiewała po cichu kolędy. Gawron gdzieś się wyprowadził, wszystkie ptaki pochowały się, żaden nie fruwał. Niebo pociemniało, przybyło chmur i zaczął padać śnieg.

Hu, hu - zaświstał wiatr przy katedrze. Matylda podbiegła do bocznej nawy kościoła, drzwi odmykały się ciężko. Przy organach siedział młody pastor. Po małym wstępie zagrał głośno i uroczysto. To brzmiało jak świergot jaskółek między głębokimi tonami skomplikowanej melodii.

Matylda podeszła całkiem blisko. Poczekała do przerwy. Nie było łatwo zapytać. Pastor zmarszczył czoło, to nie było takie proste. Matylda poprosiła o melodię ze świergotem jaskółek na swój flet. Pastor odprowadził Matyldę do domu. Po drodze mówiła o tym, co myśli o prezentach - *Prezent musi być zrobiony samodzielnie, trzeba się bardzo starać. To nie może być byle co, takie szast, prast.*

Podmuch wiatru zaparł jej dech. Pastor miał twarz zasłoniętą szalem. Matylda chciała zapytać skąd ten wiatr. Nie dało się. Musiała mocno pochylić głowę, aby bronić się przed śnieżycą. Na myśl przyszły jej piszczałki organowe, brzmiące tak jak ta śnieżycą.

Mama była szczęśliwa, że wróciła cała do domu! Matylda nie dała nikomu dojść do słowa, mówiła prędko i z przejęciem. Uspokoila ją dopiero ciepła herbata.

Po cichu, jak mały kotek, wyszła z ciepłej kuchni do pokoju taty i wzięła stamtąd papier nutowy. Ze swojego piórnika wydobyla ołówek i temperówkę. *Proszę* - powiedziała i podsuwając obok puszek z ciastkami papier w linię - *Napisz mi proszę te jaskółcze śpiewy! Ja już umiem czytać nuty, proszę!*

Mama była trochę zbита z tropu, że Matylda tak się spoufała. Pastor zapytał o fortepian i zabrał się do pracy. Szukał dźwięków na

Der Pastor bat nur darum, das Klavier benutzen zu dürfen, dann machte er sich schon an die Arbeit. Er suchte sich auf dem Klavier die Töne zusammen. Ganz einfach war das nicht, die Töne so einfach wie möglich zu setzen für eine kleine Flöte, für einen kleinen Jubel. Aus den Zwitscherchen wurden Triller für die Flöte. „Kannst Du das schon Mathilde?“ „Ja, ich glaub' ganz gut!“

Als die Noten ordentlich auf dem Papier standen, spielte sie der Pastor vom Blatt ab, mit beiden Händen spielte er. Mathilde war etwas verwirrt. Das klang zwar schöner als vorher, aber es war so viel mehr als eine einfache Melodie. Vorsichtig nahm der Pastor die kleine Flöte aus Mathildes verkrampften Fingern. Er spielte einmal und noch einmal mit allen Trillern die Jubelmelodie auf Mathildes Flöte. Dann übte Mathilde die erste Zeile, die hatte noch keinen Triller. „Ja, das kann ich lesen, das kann ich zusammenkriegen!“ strahlte sie. Die Mutter linste vorsichtig auf das Papier. Sie glaubte es auch. Mathilde bedankte sich ausführlich. Das Arbeitszimmer war kühl. Das Klavier bekam eine Decke auf die Tasten, und der Pastor bekam noch eine Tasse Tee. Als er wieder im Sturm verschwunden war, wollte Mathilde gleich auf der Flöte üben. Aber da gab es noch Hausaufgaben. „Hilfst du mir, Mutti, wenn ich nicht weiter kann?“ fragte Mathilde etwas ungenau.

Aber ja, die Mutter half beim Schreiben, beim Rechnen, beim Lesen, half bis der Schulranzen endlich zugesperrt worden war.

Das Notenpapier lag auf dem Küchentisch. Mathilde schob den Adventskranz näher zum Fenster. Sie wollte Kerzenschimmer und Schneewirbel in den Fensterscheiben sehen und dann ganz flott spielen. Es war gar nicht so schwierig, wie sie gedacht hatte. Und plötzlich: „Oh, Mutti, du klingst ja noch viel schöner, als die Flöte!“

Noch mal Mutti, noch mal zusammen!“

„Stimmet voll Jauchzen und Fröhlichkeit an...“ sang die Mutter, und Mathildes Flöte jubilierte.

klawiatuże. To nie było proste przenieść melodię na mały flet. Ze świergotu wyszły trele. *Wiesz już o co chodzi, Matyldo?* – zapytał.

Myślę, że tak! – odrzekła.

Kiedy wszystkie nuty znalazły się na papierze, pastor odegrał je obiema rękoma. Matylda była trochę zdziwiona. Brzmiało to pięknie, ale to było coś więcej niż tylko zwykła melodia. Pastor ostrożnie wyjął flet z zaciśniętych palców Matyldy. Zagrał melodię na flecie raz i drugi, ze wszystkimi trelami. Potem Matylda przećwiczyła pierwszą linijkę, nie było tam jeszcze żadnych trel. *O tak, potrafisz wszystko zagrać!* - promieniała Matylda. Mama ukradkiem spojrzała na papier i też tak myślała. Matylda podziękowała pastorowi. W pracowni było chłodno. Klawisze fortepianu przykryto sukniem, a pastor dał się namówić na jeszcze jedną filiżankę herbaty. Gdy wyszedł i zniknął w śnieżycy Matylda chciała natychmiast ćwiczyć. No, ale do odrobienia były jeszcze zadania domowe. *Pomożesz mi mamusiu jak nie dam sobie rady?* - zapytała trochę niepewnie Matylda.

Ależ tak, mama pomogła przy pisaniu, rachunkach, czytaniu aż wreszcie można było spakować tornister. Nuty leżały na stole w kuchni. Matylda przesunęła wieniec adwentowy bliżej okna. Chciała widzieć na szybie odbicie świec na tle tańczących płatków śniegu za oknem. Zaczęła grać. Nie było to wcale takie trudne, jak jej się to przedtem wydawało. I nagle - *Och, mamusiu ty śpiewasz o wiele piękniej niż ja gram! Jeszcze raz, razem!*

Mama śpiewała kolędę, Matylda akompaniowała jej na flecie.

tłumaczenie
Barbara Krzeszewska-Zmysłony

Drabina dwóch Jakubów

(fragment opowiadania)

Moja babka zwykle dawała sobie radę sama i nawet kiedy w ogrodzie grusza zaczęła chylić się ze starości i tym samym zagrażać tak samo starej i chylącej się altanie, oznajmiła, że już jest wszystko załatwione i pan Piekarski - rencista, za dwadzieścia złotych zetnie drzewo w któreś wolne popołudnie. Antoni Piekarski jednak, jadąc rowerem na grób żony przewrócił się przy podjeżdżaniu na krawężnik i upadając złamał rękę. Ludzie pomogli mu wstać, po dwudziestu minutach podjechało pogotowie, wzięli go na nosze, jakaś życzliwa dłoń włożyła do ambulansu siatkę ze zbitym zniczem i tym co zostało z nie otwartej jeszcze ćwiartki wódki: kawałkami szkła trzymającymi się kurczowo etykiety. Poszło potem po Wschowie, co potwierdzili ci, którzy na cmentarzu przyuważyli Piekarskiego, że popija i to zdrowo na tym cmentarzu. Popija i pali znicze.

Poprosiła więc mnie babka telefonicznie, żebym ściął gruszę w jej ogrodzie, bo Piekarski przynajmniej przez dwa miesiące, o ile jeszcze kiedykolwiek, siekiery w ręce nie będzie mógł trzymać a zima tuż tuż. I ja to ścięcie gruszy od razu odebrałem jako coś więcej niż tylko ścięcie gruszy. Bo babka rzadko prosiła o pomoc. Prawie nigdy. Na przykład po pogrzebie swojego męża a mojego dziadka w roku 1989 - człowieka niezwykle spokojnego, będącego zawsze trochę na uboczu, zaprosiła ludzi na stypę, posadziła przy stole a sama poszła do kuchni. I tam jak zwykle szybka, przygotowywała poczęstunek i tylko co pewien czas złamana szlochem przystawała trąc zaczerwienione oczy i płakała. I płacząc mieszała w garnkach czarną warząchwą pociemniałą od wieloletniego użycia.

W piątek skończyłem więc pracę wcześniej i pojechałem do Wschowy, ale drzwi mieszkania babki zastałem zamknięte. W drzwiach, w szparze na listy, przez którą można było wrzucić na podłogę mieszkania nawet średniej wielkości książkę, wsunięta była zrolowana kartka papieru. Babka w ostatniej chwili zdecydowała się jechać do mojej ciotki do Głogowa i wrócić w sobotnie popołudnie. Klucz od mieszkania był w skrytce „tam gdzie zawsze” jak pisała i zszedłem do piwnicy, bo skrytką była ruchoma cegła tuż koło drzwi do naszej części.

W mieszkaniu na stole kuchennym, na plastikowej serwecie w kratkę, jak w jakiejś harcerskiej grze w podchody, znalazłem kolejną kartkę. Tutaj babka zdradzała szczegóły planowanej akcji. Siekiera wisi przy węglu w piwnicy, piła stoi oparta o ścianę, a klucz od działki ma nadal Piekarski, bo od czasu wypadku babka nie zdążyła go od niego odebrać. Napisała tylko, że „Piekarski mieszka na Woźniczej w drugiej kamienicy od Leszczyńskiej, nie wiem który numer, ale zapytaj sąsiadów bo wszyscy go tam znają”.

Z góry już było ustalone, że ściąć gruszę pomoże mi Anek.

Brat mojego ojca, na którego mówiliśmy Anek, kiedyś grywał w kosza i kochały się w nim wszystkie dziewczyny. Z jedną z nich się ożenił i przeniósł na Wybrzeże, do Tczewa. Pracował w stoczni. Nigdy się nie dowiedziałem co dokładnie robi, ale z jego opowieści rysował mi się obraz jakiegoś nadludzkiego wysiłku. Jestem niemal pewien, że każdego dnia świtem przebierał się w zakładowej szatni i chował w metalowej szafce swoją raportówkę ze śniadaniem zawinię-

tym w pergamin. Potem wchodził z automatem do nitowania między żebra statku, wpełzał w jakieś ciemne i płaskie powierzchnie pachnące smarem, czołgał się na najniższe pokłady - tam, gdzie w przyszłości będzie pływał szlam gęsty od smarów i brudu spływających z całego okrętu. I tam rozdzielał głuchymi strzałami komunię wiecznego związania. Czasem jednak pojawiał się na zewnątrz, wychodził na światło dzienne jak Jonasz wyrzygany z brzucha wieloryba i stawał przed nami z torbą na ramieniu i w czapce leninówce. I kiedy ze szklistymi oczyma całował babkę w oba policzki, ona głaskała go po powiększającej się każdego roku łysinie i widzieliśmy, że ten doskonały gracz w kosza, namiętny podrywacz o plecach i ramionach obrośniętych tak gęstymi i lśniącymi czarnymi włosami, że mogłyby należeć do małpy, z roku na rok starzeje się coraz bardziej. Ale śmiać się wciąż potrafił. Ilekroć na Wszystkich Świętych szliśmy całą rodziną na grób dziadka, zamieraliśmy w oczekiwaniu na wejście Maryny - faceta, który przychodził na sąsiedni grób. W zasadzie nic w nim nie było szczególnego. Może miał jedynie dość mocno wyprofilowane czoło, pod którym osadzone były, pod okapem brwi, poczciwie patrzące oczy. Kiedyś Anek powiedział jednak, że lał Marynę w dzieciństwie i od tego czasu kiedy, tylko ten pojawiał się na końcu cmentarnej ścieżki w towarzystwie żony, trzęśliśmy się ze śmiechu, a najbardziej z nas śmiał się Anek. Staraliśmy się uspokoić, wsłuchać w chrobot głośników wiszących na drzewach, z których wydobywał się niezrozumiały głos księdza, ale kiedy tylko nasze spojrzenia się krzyżowały, przychodził kolejny histeryczny napad. A babka nieświadoma tego co się dzieje za jej plecami albo zupełnie tym nie zainteresowana z przechyloną głową patrzyła w ziemię słuchając mszy.

Anek przyjechać miał tym o szesnastej pięć. Poszedłem więc na dworzec kolejowy i przyszedłem o dwadzieścia minut za szybko. Oprócz mnie przed budynkiem stacji był jedynie taksówkarz. Z głową zwróconą ku słońcu, z zamkniętymi oczyma palił papierosa. Chodziłem po brukowanym placu, z jednego końca na drugi i przypominałem sobie te wszystkie przyjazdy i odjazdy z tych przydługawych jak na taką mięcinę peronów. Nasłuchiwałem komunikatów zawiadowcy stacji, w końcu usiadłem na ławce i zacząłem z nudów przyglądać się czubkom strzelistych topól, które rosły wzdłuż torów. Potem obserwowałem minutową wskazówkę zegara umieszczonego na szczycie budynku. Im dłużej na nią patrzyłem, tym bardziej wydawało mi się, że ta wskazówka zwalnia i im bardziej czekałem aż dotrze do szesnastej pięć, tym bardziej byłem pewien że wskazówka zwalnia, jakby jej intencją było tuż przed przyjazdem pociągu zatrzymać się, zamrzeć i uwięzić mnie na tym brukowanym placu z sennym taksówkarzem, uwięzić w tych okolicznościach pozornie przypadkowych, bo nie były one wcale dla mnie takie przypadkowe, jeśli miejsce to, plac przed dworcem, było miejscem spotkania z tym z czego się wywodziłem. Przyjeżdżałem przecież setki razy do babki i właśnie tutaj się spotykaliśmy. Nigdy we Wschowie nie mieszkałem, bardziej tu bywałem, bardziej zagłębiałem się w niej czasami aniżeli żyłem, a każde takie zagłębienie, każdy pobyt tutaj, był wizytą w czasach, które były o wiele dalej odsunięte w przeszłość aniżeli nawet moje narodziny. Jakbym sięgał za siebie, jakbym spętany był jakimś zabobonem i przesądem z czasami, w których mojego ojca i matkę kapano w metalowych miskach stojących na stołach a potem owijano ich kilkumiesięczne ciała kawałkami białych pieluszek. Albo i nawet z wcześniejszymi wydarzeniami coś mnie wiązało, złączony jakimś porozumieniem byłem bowiem nawet z faktem, że na Wschowie mówiło się kiedyś, kiedy była miastem należącym do Niemiec, Fraustad. A może miało właśnie tak się stać, że tak właśnie związany z przeszłością jak pies ze smyczą pozostanę tutaj, na dworcu kolejowym we Wschowie, w ciszy i ciepłym słońcu październikowym uwięziony gdzieś pomiędzy szesnastą cztery a szesnastą pięć na zawsze? Jakby już nic więcej nie miało się wydarzyć, jakby miasto czując, że to jedna z ostatnich wizyt moich tutaj, bo przyjeżdżałem coraz rzadziej do babki, chciało mnie zamknąć w sobie. Zamknąć, bym dalej już nie powoływał do życia nowych zdarzeń, nie wytwarzał zbędnej przyszłości bo i po co, jeśli wszystko, co wydarzyło się cennego w moim życiu wydarzyło się paradoksalnie przed moim narodzeniem i we wczesnych latach mojego dzieciństwa, właśnie w tym mieście.

Nagle jednak wszystko ożyło. Na placu pojawiło się kilku pospiesznych podróżnych, którzy nadeszli od strony miasta i zaraz znikli za ciężkimi drzwiami z napisem „Kasy biletowe”.

Taksówkarz zdeptał niedopałek i zaczął spacerować wolnym krokiem wzdłuż budynku stacji, a zza drzwi z napisem „Zawiadowca. Wstęp wzbroniony” wyszła leniwie dróżniczka wyrwana z letargu, który trwał od odjazdu poprzedniego pociągu i trzymając w dłoni zielony kolejowy lizak poszła w stronę peronu. Pociąg nadjechał i Anek znów troszkę starszy pojawił się nagle w swojej leninówce z oczyma śmiejącymi się, jakby powtarzał w głowie pytanie „a Marynę pamiętasz?”

- Milimetr! – mówił tak zawsze do mnie z racji mojego wzrostu - Milimetr, ale ty jesteś wysoki, kurka chłopie ty w kosza powinieneś grać.

- E, grałem kiedyś, teraz jakoś czasu nie mam- ja mu odpowiadam bo jakoś za bieganiem po sali gimnastycznej nie przepadam a poza tym Anek tak zawsze ze mną zaczynał spotkanie: od Milimetra i kosza.

- Milimetr! – on mi na to tym swoim głosem głębokim i ciemnym jak włosy na plecach - sport trzeba uprawiać, żeby zdrowie było – i wali mnie w ramię pięścią po przyjacielsku, jakby chciał pokazać, że wątpliwej figury jestem i śmieje się, a ja przez kurtkę czuję jak w moje ramię wbija się nit za nit. A takie te jego ręce silne, że tylko uśmiecham się i nic nie mówię.

- To przynajmniej dla sportu drzewko zetniemy, co?

- No zetniemy... – mówię i nie dodaję wujku, bo sami jesteśmy we Wschowie, nawet babki nie ma i razem drzewo będziemy ciąć, to co mu będę mówił.

- A kiedy wypijemy? Przed czy po robocie? - on pyta jakby czując, że porzuciłem jakoś i dla niego na szczęście wujka i bratanka i śmieje się głośno i znów wali mnie w ramię, a ja nie mogę się cofnąć i coraz bardziej mi się to podoba, że on mnie jak kumpla traktuje choć starszy od mojego ojca jest. I obaj śmiejemy się bo już lody popłynęły i zawiązała się sztama, a ja czuję jak nad Wschową wyrastają żelazne żurawie stoczniowe tłuste od smarów i powoli poruszają swoimi ciężkimi kadłubami z jękiem, który przejmuje aż do kości. A w szatni, której jeszcze przed chwilą nie było, stoją nasze szafki - Anka i moja. I te szafki wesoło poklapują metalowymi drzwiami i w każdej szafce goła baba na drzwiach jest przyklejona i mocne piwka stoją przykryte robotniczymi rzeczami. A ponad miastem, ponad dachami z brunatnej niemieckiej dachówki, ponad topolami wysokimi jak, przysięgam, pionowe elementy konstrukcji nośnej statku, niesie się głęboki i spokojny bas okrętowej syreny.

I uśmiechając się czekamy ramię w ramię aż pociąg odjedzie i będziemy mogli przejść przez tory. Uśmiechamy się obaj bo i on słyszał tę syrenę, ale dla niego brzmiała ona po prostu jak uderzenie dzwonu z farnej wieży na kwadrans po czwartej i on w tym dzwonie usłyszał o wiele więcej niż mógł powiedzieć ten dzwon mi, bo ja ten dzwon słyszałem wiele razy w życiu, ale on słyszał go kiedyś każdego dnia i dlatego się uśmiechał, bo tylko tyle mógł zrobić stojąc twarzą w twarz ze swoją młodością.

Pociąg ruszył i ludzie w oknach patrzyli jak się oddalamy. My staliśmy twarzą w twarz z ulicami, które i dla niego i dla mnie zwykłymi ulicami nie były, a dla nich te ulice, te domy, ta stacja nawet, były jakąś kolejną miejsciną pomiędzy Leszmem a Głogowem, która wyrwała ich z drzemki w dzwonie kurtki wiszącej na wieszaku. Były jakąś miejsciną, która podróżnym wydawała się jedynie farną wieżą widoczną z daleka, wystającą ponad polami Wielkopolski i równie wysokim kominem wschowskiej cukrowni. I nie było dla nich nic więcej poza ten komin i farną wieżę i dlatego patrzyli na nas w takim milczeniu i niezainteresowaniu. Bo nic do tego miasta nie czuli, kiedy my w przeciwieństwie do nich obaj czuliśmy wiele. A kiedy pociąg oddalił się na bezpieczną odległość, przezorny zawiadowca podniósł ramię szlabanu i nasze kroki zadudniły na czarnych od przejeżdżających pociągów deskach.

Szliśmy Dworcową pomiędzy szpalerem kasztanów. Taksówkarz, który stał na placu dzisiaj nie miał szczęścia. Dogonił więc nas i nie wysiadając z samochodu zapytał czy podwieźć. Podziękowaliśmy, a on od razu przyspieszył i popędził w kierunku centrum miasta z szaleńczym turkotem kół na kocich łbach.

- Gładysz. Chyba Janek. Tak. Janek Gładysz. Chodziłem z jego bratem do ogólniaka powiedział Anek i dalej już szliśmy i nic nie mówiliśmy.

(cd. nastąpi)

Traumgesichte

Zur Nacht hat mich ein Nix begehrt,
er nahte sich mit Prangen.
Sein Schimmel strahlte mondbewehrt
im Troß und Feen sangen

Ein Hahn voraus, ganz ungeniert.
Gefolge trat zur Seite.
Die Lippen waren unrasiert.
Gewand enthüllt durch Weite.

Er naht auf Schwestern, unbehaart
ihr Haupt mit Rosenwangen,
ein Zwilling, siamesenart,
des' schmale Hüften schwangen.

Grün-silber-blauer Schuppen deckt
den Arm und Rippenbogen.
Vom Nabel Echsein aufgeschreckt,
hat sich zurückgezogen.

Von Haupt bis Fuß, in weitem Schwall
ergiest des Haares Seide,
Kaskaden, Strudel überall,
entbehrt jeglich' Geschmeide.

Im Mondschein schwach auf
Wolkenschaum
manch' Welle uns gestreichelt.
Wie Rittersporn, nur weiß im Traum,
hat Tau uns kühl umschmeichelt

August 1999

Twarze snu

Nocą wodnik mnie pożądał,
zbliżył się z pompą.
Jego siwosz jaśniał księżycem
w uprzęży a wróżki śpiewały.

Kogut na czele, bez krzty żenady.
Świta odstąpiła na stronę.
Usta były nieogolone.
Szata szeroko odkryta.

Zbliża się na siostrach, bezwłose
ich głowy, policzki różowe,
bliźnię, niby syjamskie,
którego wąskie biodra się kołysały.

Zielono-srebrno-niebieski cień pokrywa
ramię i łuk zębrowy.
Jaszczurka pępkiem przestraszona,
zniknęła w ukryciu.

Od stóp do głów szerokim potokiem
wytryska jedwab włosów,
kaskady, wiry wszędzie,
zbytkiem wszelki klejnot.

W księżycu słabym przez chmur pianę
blasku
czasem musnęła nas fala.
Niczym ostróżka, choć biała we śnie,
otuliła nas chłodem rosa.

sierpień 1999

Przekład Krzysztof Olszanowski

Gebet in Waffen

Ein Freund hat mir den Krieg erklärt,
sein Instrument die Trommel,
die Glocke war altarbewehrt,
Musik erscholl, nicht Rommel.

Die Rede war in manchem Reim,
voll Rassein, Donner, Schlagen.
Lügt Friede mir? Sie kehren nicht heim!
Macht Herz und Atem jagen.

Wie Flammen rot erstrahlt ihr Kleid,
las Worte mancher Zunge,
mal sanft, mal laut, gebeugt wie Leid,
erstirbt nach herem Schwunge.

Schriest Frieden, Zeit flog weit, ich fror,
geschärft warn die Granaten,
Ein Milchtopf aus Kartuschenrohr,
nährt Kindheit wie Penaten.

Bitt' Frieden! Du, mit Paukenschlag,
lausch' wach dem falschen Sänger,
Sie reiten noch so manchen Tag,
durch vieler Herren Länder.

Wenn Feind und Götter aufgehängt,
ist Frieden sehr verletzlich.
Drum singt und tanzt, vergeßt nicht, denkt!
Kein Leben ist unendlich!

Modlitwa w orężu

Przyjaciół wydeklarował mi wojnę,
jego instrumentem bęben,
dzwon uświęcony był ołtarzem,
rozbrzmiała muzyka - nie Rommel.

Mowa miała niekiedy rym,
pełna grzechotu, grzmotu, walenia.
Wkładam mi pokój? Nie powracają do domu!
Przez co serce me i oddech gonią.

Niczym płomienie czerwono jaśniej jej suknia,
czytała słowa niektórych języków,
to miękko, to głośno, to niczym skulone
w bólu,
aż zamarła w wielkim geście.

Krzyczałaś o pokój, czas się rozpościerał,
marznąłem,
odbezpieczone były granaty,
kanka z łuski,
żywi dzieciństwo niczym penaten.

O pokój proś! ty - uderzeniem w kocioł,
przysłuchuj się czujnie fałszywemu
śpiewakowi,
nie jeden dzień jeszcze przecwałują,
przez wiele krajów.

Gdy wrogowie i bogowie powieszani,
pokój jest bardzo kruchy.
Tańczcie i śpiewajcie więc, nie zapomnijcie,
myślcie!
Nie ma życia w nieskończoność!

Przekład Krzysztof Olszanowski

Gdy odlatują jaskółki

Czytelnik z Zagłębia Rury

Oto dowiaduję się rzeczy niebywalej, pan Henryk, czyli tytułowy Czytelnik, po dramatycznym wymigowaniu przed laty z Polski, osiadły w wymienionej wyżej części Niemiec, a dokładnie w Gelsenkirchen, regularnie czyta „Pro Libris”. Jednak jest ktoś taki. I tu muszę skrupulatnie dodać, bo czemu miałbym ukrywać swoją szczególną satysfakcję, że lekturę zaczyna (jak zapewnia) od tych właśnie fragmentów, moich prozatorskich poczyną. Tak właśnie wygląda obieranie cebuli. Od słowa do słowa, warstwa po warstwie i dowiadujesz się czegoś nowego, co w ludziach drzemie i nie pozwala tylko piwa, zajadać się kiełbaskami, nieustannie pucować kafelków w łazience ku oglupiającemu samozadowoleniu.

Maria

Ile to już lat, ciągle młodych lat, kiedy około południa zadzwoniła Maria. Dobrze pamiętam jej nieco podekscytowany głos, sukienka seledynowa, powiewna, poezja we włosach. Jakieś zaproszenie, jakieś obietnice. Czuję, że to coś ważnego. Oglądam się wstecz. Cóż, wszystko, co się zdarzyło, zdarzyło się w przeszłości. Był to jeden z tych ważnych i dobrych dla mnie telefonów w życiu. Co potrafiłem, to doznałem. Teraz zapisuję to na plus.

Podróż do Jaromierza

Jesiennego dnia, w poniedziałek, słońce świeciło, tak jak świeci w spokojną, uciszoną,

wolną od wszelkich gwałtowności porę roku, w której niewysłowiona cisza i jej mgliste, snujące się przy ziemi pasma, zawierają w sobie wszystkie nostalgiczne treści istnienia. Z Paryża przyjechał Kazik. Pełen twórczych pomysłów i spojrzeń na świat. Wymieniliśmy zdania o tym, co właśnie dzieje się na tym naszym świecie, w Polsce, we Francji, u niego, u mnie w domu, w Zawadzie, gdzieś dalej i dalej. Wieczorem wypiliśmy butelkę wina, gadając o kobietach. O jednej kobiecie, dwóch, trzech, wielu kobietach, byleby nie były wariatkami. Pojechaliśmy później, czyli następnego dnia, do Jaromierza, małej wioski między – tak to ujmę – Kargową a Wolsztynem. Do mojej Itaki. Jadąc szosą podróżny widzi najpierw po prawej stronie szerokie łąki z kilkoma pasącymi się krowami i ma wrażenie, że te krowy są w tych samych miejscach jak były przed wieloma, wieloma laty, kiedy stąd wyjeżdżał na stałe. Ten podróżny to oczywiście ja. Dalej, prawie na horyzoncie, topole, szumne topole, też te same, które podrosły sporo a jakby nie zmieniły się nic a nic, szleszczą ich liście tkliwie nad moją domową rzeczka, w której w dzieciństwie kąpałem się i udawało mi się złowić kilka ryb. Z radością jeszcze trzepoczące ogonkami niosłem do domu i łączyła się z tym jedyna w swoim rodzaju moja duma. I oto widać zarysy dwóch, trzech gospodarskich zabudowań, dachów, a cała reszta skryta za drzewami. Jakaś smużka dymu z komina przyciąga moje spojrzenie. Skręciliśmy w akacją aleję, przejechaliśmy tory kolejowe, którymi już nie jeździ żaden pociąg. Aleja taka piękna,

wysokie drzewa. Zobacz, jaka wspaniała, gałęzie tworzą baldachim nad głowami, popatrz, ile tu wonnego kwiecia musi być wiosną. A jaki raj dla pszczoł czerpiących miody. Obok wysokie, iglaste drzewa sosnowego lasu, który z małego zagajnika, pełnego maślaków, cudownie smacznych maślaków i lisich nor, nie do poznania wyrósł. Tędy i tą szosą codziennie chodziłem do szkoły w Kopanicy, do kościoła w niedzielę i na lekcje religii, które po swojemu wykladał nam ksiądz Michał Łabiak. Ten sam, który przyjeżdżał do mojego ojca złożonego ciężką chorobą z ostatnim namaszczeniem. Pamiętam jak dostojnie chodził, a raczej kroczył po salce katechetycznej, mieszczącej się w pobliżu cmentarza i wzbudzał swoją postacią respekt, gdyż w razie potrzeby nauczał także swoim narzędziem dydaktycznym, czyli gładkim, wystruganym starannie patykiem, czasami świszcząc nim w powietrzu, dając solidne cięgi nieposłusznym chłopakom w rękę. Niby bardzo surowy, a zarazem częstował nas cukierkami. Po lekcjach zaglądaliśmy na wiejski cmentarz, gdzie do dzisiaj ciągle jeszcze trwa dziecięcy grobek mojego braciszka Henryka, pochowanego przeszło już pół wieku temu, o dziwo trwa, bo nikt mimo upływu lat nie powążył się go zniszczyć. Zapędzaliśmy się też na sąsiadujący obok cmentarz protestancki, osamotniony, już zupełnie zarośnięty drzewami i krzewami wszelkiego rodzaju. Ciekawiły nas grobowce, w których ciemność. Leżąc w trawie przy samej ziemi, wpatrywaliśmy się przez małe otwory przy pomocy latarek. Wydawało się wtedy, że coś tam w głębi widać, widzimy, coś tam jest, jakieś zarysy, tajemnice, jakieś ludzkie szczątki drzemią pod wiekami trumien. Po plecach przelatywało coś w rodzaju mrowienia i dreszczu, czyli mimowolny strach przed tym wszystkim, co w tej ciemności może być. A teraz jasność dnia, łagodna jasność, wysiedliśmy z auta, stoimy na piaszczystej drodze, spokój, cisza, zobacz, w tym domu z czerwonej cegły urodziłem się. Modliłem się, jadłem kaszę, kartofle, przyklejałem język do zamarznętej szyby, bałem się milicjantów robiących w naszym domu

długotrwałą rewizję. Jadłem owoce rosnącej pod oknem wiśni. Tędy biegłem do ogrodu. Spotkałem jeża. Na tej łące kroczył bocian. Tu mój pies umierał. I ja umierałem. Jeszcze przed domem to samo drzewo lipy, pod którym w wózku spałem, wyobraź sobie, dokładnie pamiętam, jak wychylałem się z dziecięcego wózka, chyba wypadłem. Ta sama pompa, schody już podniszczone, te same, a zwłaszcza klamka u drzwi z głową lwa. Jestem poruszony, robimy zdjęcia. Dotykam ręką tej właśnie klamki i tych drzwi od lat nie malowanych, z łuszczącą się brązową emalią. Rozmawiamy z nowymi mieszkańcami tego domu o tym, co było. Jak im idzie w gospodarstwie. Czy ciągle zimowymi wieczorami chodzi się na darcie pierza. I opowiada po północy frapujące historie. Jedno okno, drugie okno. Kiedyś tu był mur, raczej murek. Wdrapywałem się na niego i mogłem wiele więcej ogarniać swoimi oczami. Widziałem Tereskę wychodzącą z sąsiedniej furtki, wołałem do niej, by przybiegła bawić się ze mną, co chętnie czyniła. Mimowolnie patrzę w tę samą co wtedy stronę, ale z furtki nie wychodzi Tereska ani ktokolwiek inny. Była też piękna, wielka, ogromna drewniana stodoła o glinianych ścianach, kryta słomą. Moje królestwo, gdzie spędzałem godziny beztroskiego buszowania wśród stert siana i słomy, ale stodoły też nie ma. Znikła, może dokądś odleciała na swoich potężnych wrótniach. Ach, co ja mówię, oczywiście że musiała odlecieć tam, gdzie i ja kiedyś odleczę. Więc idźmy dalej. Ciągnie mnie jednak na łąki, na te magiczne łąki, sielskie, na których kiedyś tyle patrzenia i myślenia. Moich modlitw i śpiewania. Zapachu siana, potu ludzi pracujących przy sianokosach, skubiących trawę koni. Poznają te łąki i nie poznają, jakbym pierwszy raz, znowu pierwszy raz, widział szeroką przestrzeń, a w dali drogę z mknącymi samochodami, tyle tylko, że teraz pędzą niemal jeden za drugim i są zupełnie inne. Stoją na pastwisku krowy, cała ich gromada, wspaniałe, zakolczykowane krowy, zauważają nas natychmiast, my stoimy, patrzymy na nie, wielkie, z pękatymi brzuchami i wymionami.

Pilnuje ich elektryczny pastuch. Kazik robi kilka zdjęć, do których te czarno – białe krowy zdają się jakby pozować, fotografuje też mnie na ich tle. Wyciągam rękę, a one wolno podchodzą w naszą stronę. Przywitać się. Niesamowite jest poznawanie tej zielonej krainy. Spadło kilka kropel drobnego deszczu. Powiał wietrzyk. Wyglądneło zza obłoku słońce. Doleciał ptasi świergot. Nieco jakby samotny. Czuję się dumny, że moje korzenie tutaj właśnie. Że coś ze mną naprawdę jest. Że mogę wreszcie to uroczyście komuś pokazać, tę moją wewnętrzną nadzwyczajność. W tym błotnistym rowku, wiosną napełnianym wodą z topniejącego śniegu lub niekiedy wylewającej na łąki rzeczki, wybuchały złociste kaczęce. Lubiłem po kolana brnąć w błocie. Ubrudzić się, ile się tylko da. Wbiegać w rozlewiska i kałuże. Tu leżał, pokazuję to miejsce Kazikowi, kolczasty drut, który przebił mi stopę, a tam, popatrz, stoi jak stał sad Masznerów, ten sam sad, z licznymi owocowymi drzewami, różnymi gatunkami jabłek i śliw, do którego jesienią zapuszczaliśmy się z pastwisk po złote renety. Chowaliśmy je w stogu siana i piekliśmy w ognisku, i z wielkim apetytem jedliśmy. Przeszliśmy zielony mostek, mosteczek na rowku, czysta woda pod nami, stanęliśmy na skraju łąki, mojej łąki, tu olchy, stawy, a na ich brzegach krzewy z czarnymi jagodami, których lepiej nie jeść, jak pamiętam nigdy nie należało ich jeść, więc i teraz nie należy, szkoda, że nie ma już tamtych drągów oddzielających pastwiska, chętnie bym na nich znowu usiadł. Idziemy na wskroś łąki, buty są mokre. Wpadamy w zaczepione między gałązkami sieci pajęczyn, które przylepiają się do kurtek. Wrona poderwała się do lotu. Naprawdę tu pisałem swoje pierwsze wiersze. Moje oczy zaprzyjaźniały się z jaskółkami, co potrafiły mknąć tuż przy samej ziemi. To znów latać bardzo wysoko. Tu muszę się zatrzymać. Chcę jeszcze patrzeć i słuchać. I patrzeć. Czuć siebie, bicie swojego serca, obejmować całą dookólną przestrzeń. Popatrzeć na to miejsce. Stoję, nasłuchuję poezji i niepoezji. Unosiłem się, niesamowicie unosiłem się, nie wiem, kto objawiał mi wtedy

całe światło świata. Ktoś jednak objawiał. Nie mogło być inaczej, bo inaczej nigdy nie bywa. Uwierz, że wszystkiego, co było wokół, obłoki, konie, drzewa, wiatr, koniczyna, zachody słońca, najbardziej pragnąłem poezji. Wydawało mi się, że jej dotykam, jestem blisko i tylko ona jaśniała ponad wszystko, i tak ją od tamtego czasu czuję i widzę. Nic nie minęło. Obrazy takie żywe. Kowal pracujący w kuźni ciągle żywy, jego młot o kowadło uderza, choć już przecież umarł. Dym z ogniska snuje się nadal. Nadal dźwięczą przy saniach dzwonki. Czy żywe może być to, co odeszło. Zamyśliłem się na kilka sekund. W zaułku, na skarpie, kiedyś, więc wtedy, czyli bardzo dawno, znalazłem pisklę, myślę teraz o tym bezbronnym ptaku, któremu chciałem pomóc, a zostawiłem je w końcu, drżące w trawie i nie wiem jaki był potem jego los. Teraz po dziesiątkach lat przypominałem sobie o tamtym zdarzeniu. Minęliśmy dąb, przez brzozowy laszek wydostaliśmy z łąki na piaszczystą drogę. Ku mojemu zdziwieniu na polu, na którym jak pamiętam z dzieciństwa zawsze siano żyto, teraz również wycierały z ziemi tkliwie zieloniućkie źdźbła tego zboża, z którego chleb nasz powszedni. Poszliśmy nieco dalej i nasze oczy rozradowały się widokiem sporej wielkości poletka zapelnionego nieprawdopodobnie dorodnymi owocami dyni. Żółte, pomarańczowe, czerwone, zielone, białawe, szare. Ach warto, naprawdę warto taki obrazek zobaczyć na własne oczy. Dynie. Już wiem, z dyniami potrafię kojarzyć pełnię owocowania. Może powinienem tym dyniom poświęcić wiersz. Zwyczajnym, a przecież nie takim znowu zwyczajnym dyniom. I znowu w ruch poszedł aparat cyfrowy, który to niepowtarzalne ich piękno utrwalił i z pewnością zawiezie je w paryskie Kazika strony. Poczulem, że dobrze mi robi doznawanie takiej właśnie konkretności istnienia. Tuż obok jest świat, który kłamie, zachowuje się zdradliwie, kurewsko, cały, prawie cały, w szaleńczym natłoku i ataku zagarnia wszystkie sfery życia, wypełnia je medialną uludą. Chce obracać się bezkarnie, mówić więcej i więcej, bo nikt już nie zdoła dojść, czy to jeszcze prawdziwe mówienie. Tu zaś, gdzie kwaśno pachnie przy-

gotowywana dla zwierząt kiszonka, gdzie miękko butwieją liście, wiem, co jest co. Nikt niczego nie udaje. Nikt nie nakłada maski. Może więc i mniej się błądzi. Bóg bowiem bliżej, nie wymyślony Bóg, który gospodarstwa dogląda i sprawdza każdą rzecz z osobna. Obowiązkowo poszedłem zobaczyć jak w rzeczce płynie woda, płynęła nieco mętna, ale nie miałem ochoty stać na jej brzegu, bo cóż mogłem jej powiedzieć, czego ona sama by nie wiedziała. Poczulem jakąś jej obojętność. Wyszeptalem jedno, dwa słowa na pożegnanie. Nieco dalej czekał na nas staw, któremu też zrobiliśmy zdjęcia. Ten staw bywał i bywa pokrywany zieloniutką rzęsą. Ma się wrażenie, subtelności, miękkości, której nie należy naruszać. Zdarzyło się tu, przed jego lustrem, coś niespodziewanego. Twarz Kazika zmieniła się, coś się w niej wygładziło, wypogodniało. Zauważałem jak spadają jedna po drugiej uwierające go od wewnątrz skorupki, skorupy, więzy i obciążenia. I staje się zdolnym do lotu ptakiem. Przy tym niepozornym, a jednak urokliwym, stawku, na otaczającej go łączce urządzano wiejskie zabawy. Do tych zabaw na platformie traktorowej przyczepy, na którą wdrapywała się dzieciarnia, przygrywała wiejska orkiestra. Akordeon, trąbka i bęben. Najpierw ktoś ideologicznie przemówił, a potem wyzwolony lud ochoczo tańczył. W bufecie była oranżada, wino, bułki i kiełbasa. Papierosy. Z tamtych ludowych zabaw nie zostało już nic, prócz wspomnienia, i prócz blasku wody, w której teraz czyste odbicie jesiennego nieba uzyskiwało niepospolitą moc. Tak, słowu należałoby przydać choćby odrobinę tej mocy życia i rzeczywistości. Należałoby. Tylko skąd ma ona dzisiaj się brać. Wracamy niespiesznie do auta, znowu jesteśmy przed moim dawnym domem z czerwonej cegły, gdzie przy naftowej lampie sylabizowałem elementarz. Wiemy więcej niż dwie godziny wcześniej, tylko nie wiemy, tak naprawdę, co z tą wiedzą teraz zrobić.

Noc

Coraz zimniej i zimniej. Coraz więcej nocy. Na niebie, w ciszy, przesuwa się światełko wy-

soko lecącego samolotu. Zima na wyciągnięcie ręki. Na niebie pełno ostro, niewybaczalnie, świecących gwiazd. Tych, co to podpowiadały Emanuelowi Kantowi w Królewcu tajemnicę męstwa tkwiącego w imperatywie moralnym. Czasami świadomość dotknie lęk. Właśnie teraz wiem, co oznacza ten dotyk. Ból, lęk. Mam już wiedzę, że skończyły się żarty. Śmierć po to jest, by otwierały się uszy i oczy i aby nie udawać, w jakikolwiek sposób niczego sobie ani nikomu nie wmawiać. I o nic już nie zabiegać.

Powoli

Powoli, szczegółowo, wysypuje się zawartość teczek ludzi, którzy dawnemu systemowi sprzedali swoją duszę, a potem z zapalem sprzedawali kogo się tylko da, nawet własne rodziny i przyjaciół. Gdy czytam, z jaką gorliwością robili to jednak ludzie bądź co bądź światli, to się jednak dziwię. Mechanizm chyba jest, był, ten sam zawsze, od małych podłości do dużych, w których już traci się rozeznanie, co jest dopuszczalne, przyzwoite. I wtedy, im więcej, perfidniej, tym lepiej spełniane zadanie. Czytam dziełko pt. „Kolacja z konfidentem” i tak sobie myślę, choć tyle dziejowej sprawiedliwości.

Jeszcze rano

Jeszcze jest rano. Oddycham. Wstałem. Umyłem się. Wyciągnąłem się z samego siebie. Dzisiaj o dziwo czuję się nawet nie najgorzej i mógłbym obyć się bez lekarstwa. Tak szeroko oddycham. Jak dobrze, kiedy nic nie boli, nie ciąży, i jest lekko. Mogę sobie tylko wyobrazić jak to wtedy miło mogą płynąć godziny, kiedy dzień po dniu nic nie dolega, po prostu lekko. I łatwiej sobie uzmysławiać wszelką możliwą cudowność. I łatwiej siedzieć nad kartką. Wychodzę po kilka dreb do szopy, żeby napalić w piecu. Chce się żyć, mimo że wokół rośliny prawie wszystkie już pogasły i ani śladu po kwiecistej ich świetności. Ale teraz na gałązkach można obserwować każdy listeczek z osobna, każdy, bo niewiele już ich zostało. I na dodatek prześwietlają je słoneczne promienie.

Światło

Promienie słoneczne pozdrawiają nas.
Albo ktoś promieniami nas pozdrawia.

Znak

Rzadko się zdarza, by można było zobaczyć tęczę z samego rana. Wyjrzałem przez okno, chmury porozrywane, ogromne obłoki pędzą, a między nimi niebiesciutkie obszary nieba. Zawieszona w powietrzu, delikatnie świeci przejrzystymi barwami tęcza. Teraz w listopadzie. Widzę ją i rozumiem, że taka powinna być poezja. Klucz ptaków podąża na zimowisko.

A

A więc wybieram rzeczy jasne. Jasność jasności nierówna. Nie są złudzeniem. Tylko czymś więcej niż powalająca ciemność. Bezład i ciężkość. Światłem ciemność zwyciężaj. Parafrazuję słynne zdanie. Czasami wypada odświeżyć sens tego, co się już zanadto z powodu częstotliwości używania osłuchało, zużyło, straciło wyrazistość, blask, zamuliło, wydało się nazbyt powszednie.

Bohater

Jakby nie patrzeć nie minęły czasy ludzi odważnych. To, co obecnie robi mimo skali przeszkód, i w przeszłości zadawanych przez „nieznanych sprawców” cierpień, pozwala mi o księdzu Tadeuszu Zaleskim-Isakowiczu myśleć i patrzeć na jego poczynania w kategoriach wysokich, heroicznych. Oto dowód, że wytrwałość, własne zdanie, dochowywanie wierności wartościom moralnym, które przekładają się na dobre, współczesne rozumienie patriotyzmu (niestety za wszelką cenę niektórzy nihilisci próbują wykpić te wartości, rzekomo już zbędne Polakom w budowaniu ojczyzny szczęśliwości), że taka postawa może być znakiem rozpoznawczym, może dawać otuchę do wyboru właściwej drogi. Warunkować smak życia. I od razu przyszedł mi na myśl inny ksiądz, na szczęście

już były ksiądz, o którym szkoda nawet się rozpisywać.

Tak

Nic nie minęło z tego wszystkiego, co przez tysiąclecia wymyślił człowiek, co tysiąc razy, sto tysięcy razy sprawdzało się w życiu i tylko głupiec próbuje wmówić komu tylko się da, że przywiązanie do norm, to nie licujące z nowoczesnym patrzeniem na świat trzymanie się schematów. Od takich mędrków trzymać się jak najdalej.

Poezja w ubikacji

Książki w różnych miejscach są sprzedawane. Ale w ubikacji?! To może zdumiewać. Jak każde dno. To może mieć miejsce zapewne tylko w „powiatowej” (wedle terminologii pewnego radiowca) Zielonej Górze. Bo wpaść na pomysł wyłożenia do sprzedaży książek poetyckich obok papieru toaletowego i talerzyka, na który „babci klozetowej” kładzie się opłatę za pisuar i muszlę, to już stanowczo za dużo. Potrafi coś takiego zrobić tylko ktoś, kto myśli o spieniężaniu za wszelką cenę nawet poezji. Ktoś złośliwie mógłby rzec, jaka poezja takie jej miejsce. Tak nie wolno jednak nawet myśleć o poezji. A cóż dopiero tak poniżać czyjąś, jaka by nie była, wrażliwość, czułość, zamyślenie, czyjeś odślonięcie własnej intymności. Pikanterii dodaje fakt, że w ubikacji marketu „Piotr i Paweł” odwiedzającym to miejsce „za potrzebą” polecane są książki członków stowarzyszenia „Jeszcze Żywi Poeci”, między innymi Jolanty Pytel „Wejść w niebo”. Niestety widziałem. Profanacja.

W kuchni

Wróciłem na chwilę do kuchni. Bo w kuchni piec rozgrzany, woda w garnku gorąca, dobry piec, prawdziwy ogień i ciepło prawdziwe, zziębłe plecy mi rozgrzeje. Kot położył się na krześle. Stoję tak, żarówki nie palę, bo lubię tę swojską ciemność, która zmęczone oczy leczy, dobra ciemność. W szczelinach płyty widać płomienie.

Głos Władka

Znam jego głos. Gdybym go usłyszał w środku nocy, nagle obudzony, nie miałbym żadnego problemu z rozpoznaniem, do kogo należy. Zdążyłem się już wsłuchać w jego charakterystyczną szorstkość, przydaną mu dozę męskiej chrapliwości. Władek jest poetą z prawdziwego zdarzenia, z wrażliwością, której nie nauczył się poprzez przyjęcie pozy, nałożenie maski lub manierycznego nastawienia. Nic z tych rzeczy. Władek jest autentycznym poetą, który zna i całym sobą czuje swój nieco wyosobniony, a przecież zarazem głęboko w nim tkwiący świat. Czuje swoje Choszczno, otaczającą przyrodę, tę zza okna, znad jeziora, które ma tak blisko swego domu i tę najbardziej okazałą „Parku Drawieńskiego”. Piękno, zakorzenienie w naturze, a przecież i przywiązanie do prawdy wartości duchowych, moralnych, których nie wolno licytować ani relatywizować, w jego wierszach ma dobre mieszkanie. To wszystko w jego osobowości tworzy harmonijną całość. Odzywa się też, a w kim się nie odzywa, melancholijna nuta. Bo życie mija, zdrowie mija, obrazy, wspomnienia dają o sobie znać. Jego usposobienie nazwałbym refleksyjnym, ale kiedy raz po raz, w różnych porach dnia do mnie dzwoni, to w tonie jego głosu i w ogóle sposobie mówienia, słyszę zdolność do fascynowania się tym, co zdołał gdzieś zobaczyć, przeczytać, przemyśleć. Rzetelnie według człowieczej miary ocenić. I to we Władku bardzo lubię, cenię, bo nie jest mi obce, co mówi, jakaś nić rozumienia między nami się zawiązuje. Tacy ludzie jak Władek wybierają najczęściej ciszę, unikają pretensjonalnej krzykliwości, nie mają próżnych ambicji pchania się z własną osobą i dokonaniem, gdzie tylko się da, by ktoś przyczepił im np. krzyż zasługi lub medal, robią swoje, pielęgnują świat osobistych przeżyć, ambicje kariery jakby są poza nimi. Ale poezja nie jest poza nimi, poza nim szczególnie. O niej nie da się przecież zapomnieć. Może nawet śni się czasami lub śni się na jawie, kiedy bezsenność nie pozwala zmrużyć oczu. Gdyby jej nie było, gdyby została zdeptana, to nie byłoby

w znacznym stopniu człowieka. Tego, który jeszcze chce wierzyć w sprawy podstawowe. Dla niego ważne jak powietrze, woda, śpiew ptaków, dotykanie horyzontu przez słońce. Dla Władka będące źródłem bólu i radości. Tworzą w nim krajobraz czuły na wszystkie drgnienia. I pod postacią drzew, deszczu, ścieżki wiodącej przez pola, zmurszałej ławeczki pod jabłonką, przemawiają w jego imieniu. I tym dobitniej, kiedy dostępują sekretu prostoty wypowiedzi. Władek objawia w nich właśnie samego siebie.

Przy herbacie i piwie w „Palomie”

Gadaliśmy sobie jak zwykle, że życie pędzi. Już czterdzieści lat pękło jak razem debiutowaliśmy wierszykami w „Nadodrzcu”. Może mamy szansę na skromny choćby jubileusz? A byliśmy z Miciem uczniakami, którzy mało co wyróżnić się potrafili uzyskwanymi ocenami np. z matematyki. Wie o tym dobrze pani Achramiej i profesor Arczyński. Szło jak szło. Poza nami drukował wtedy też swój debiutancki tekścik Marek Kukanow, ale on gdzieś później się zawieruszył, jakby zupełnie nie obchodziło go dalsze pisanie. A było to jednak wydarzenie, ten pierwszy krok, który warto pamiętać, nie to co nastąpiło później, czyli kolejne druki w prasie i wydawane tomiki lub nagrody. Ale tamto podniesienie głowy, tamta rewelacja w szkole przy Chopina, wywieszenie przez Bolka Jurkiewicza w gazetce szkolnej naszych druków. Kto chciał to je czytał i czasami dzielił się uwagami. Do „Makusynów” nie należeliśmy. Byliśmy z boku, co może i na dobre nam wyszło. W końcu dojeżdżaliśmy do szkoły z podzielonogórskich wiosek. Bo choć ponoć miało w „Makusynach” miejsce jakieś nietuzinkowe za sprawą druha Czarnucha kształtowanie osobowości, to nam, poetom, taka kolektywizacja wrażliwości i wyobraźni nie wiem, czy by na dobre wyszła. Zawsze to lepiej myśleć po swojemu, a nie pod komendę. Może i dlatego profesor Czarnuch nie zwrócił specjalnie na nas uwagi. Utkwiło mi, że historii starał się uczyć niestereotypowo, a więc

nie tak żeby się można było na lekcji nudzić. Zawsze mówił żywo, dobitnie. Lubił dygresje. Pozwalał na swobodne wypowiedzi i niebanalne pytania. Ale jednak nie stronił od indoktrynacji. I wiem, że w tym celu też gromadził na Kazimierza Wielkiego, u siebie, młodzież na światopoglądowe dyskusje. Niestety. Kiedyś na lekcji tak zapędził się, że oto powszechnie straszono w czasie wojny, jaka to straszna ta Armia Czerwona, co to będzie, kiedy przyjdą itd. I przyszli – powiada – widziałem takich zwykłych, młodych żołnierzy, jeszcze prawie chłopców, którzy uśmiechali się. I nie było w nich nic straszego ani groźnego. Tak myślę dzisiaj, czy aby nie nadgorliwie wtedy próbował w nas, mało co zorientowanych w sytuacji, wzbudzić poczucie normalności, że oto Sowieci weszli po prostu i są sobie jakby nigdy nic i po wsze czasy tak ma być. Jakbyśmy nie mieli się nad tym nawet zastanawiać, ale akceptować ten sympatyczny, zastany stan rzeczy. Później przysły lata niełatwe dla Zbigniewa Czarnucha, również w życiu osobistym. Ale to nie temat już dla mnie. Może temat dla niego samego na książkę autobiograficzną. Mit jego osoby urósł do pokaźnych rozmiarów i chyba trwa nadal. Kiedy jednak teraz czytam jego teksty, w których nie omieszkuję pokpiwać z wartości religijnych, przytaczając rzekomo autorstwa o. Oszejcy żart, pokpiwać z polskiego patriotyzmu, i to w kontekście bezpreceden-

sowego artykułu w niemieckim „Die Tageszeitung” (wiedzieli co robią), w gruncie rzeczy artykułu zjadliwego o Polsce (niedawno zaś „Die Welt” pokazał jak bardzo Polskę kocha), kiedy jeszcze wspiera się, a jest to już niesmaczne, aluzją do swojej mamy, uczącej go w dzieciństwie szlachetnego w wymowie wierszyka, no i te inklinacje, tyle że obecnie proniemieckie (cóż potrafią bezceremonialnie kpić „z Matki Boskiej, Jezusa, Trójcy Świętej” ku zadowoleniu publiki), to chce mi się... (daruję sobie użycie adekwatnego słowa) na taką niezależność duchową i światłość, czy postępowość.

Wróble

Patrzę jak skaczą wśród nagich gałązek jaśminu drobne, szare ptaszki. Bardzo ruchliwe, cała ich gromada. Nie uzmysławiam sobie przez dłuższy czas, co to za jedne, dopiero po chwili, że to przecież wróble, ach, widzieć je trzepoczące w gorącym piasku albo w kałuży, to dopiero frajda. Jaki wigor w nie wstępuje. To są właśnie wróble, które należą do mojego świata. Niech będą wróble, trzepyty, wielkie ich klótnie, skakanie po gałązkach, to okno, ten jaśminowy krzew, nieco dalej dach, który jest naprawiany, abym ja wróblom, a one mnie nie zabrakły. Moje wiersze też są jak te wróble, kartki zapisane, które trzymam w garści. Oby chociaż tyle.



Jesień

Pokrył fiolet wrzosa przy szpilkach sosnowych.
Z gęstej mgły nadwodnej jodła pierś wynurza.
Sterczą martwe trawy. Przy brzegu kałuży
wyjrzał z mchu białego borowik brązowy.

Nad nim chmury ciągną przez ojcowskie pola.
Puste gniazdo pliszki upadło spod dachu,
majówki i chabry nie nęcą zapachem,
ostatni snop zboża leży już w stodole.

Smutek gniecie serce. Wczoraj ogród w krasie –
dzisiaj leżą w błocie, a wicher okrutny
rwie rozwarte szpilki z domowego lasu

i choć w barwach tonie – to każdy dzień smutniej.
Jesieni santocka deszczem przesiąknięta
taką byłaś kiedyś i taką pamiętam.

Zima

Ciężkie, śnieżne chmury co krążą nad głową
z bezlitosnym wichrem północ nam przyniosła.
Pobielając pola, oszraniając sosny
utworzyła nagle krajobrazy nowe.

Znikła dawna radość a półsenne słońce
przymrużyło oko wydłużając cienie
jakby się wstydziło swojego istnienia
w te dni coraz krótsze, a noce bez końca.

Chłód ostry naciera. Już pisze rachunek
pustą ścieżką w sadzie, nudą co złem wieje.
O czym dzisiaj pomarzyć. Zgaśł promyk ratunku.

Zasypała zima ostatnie nadzieje.
I tak pędząc w mrozie wichry oszalałe
zbyt wiele ma śmierci, a życia za mało.